Marsz brzegiem Bałtyku 1994

Trasa: Dziwnówek - Mierzeja Wiślana

Czas: lipiec 1994
Tekst i rysunki: Maciek Dziadyk

Paweł i Maciek na początku marszu po plaży w Dziwnówku. Zimno i wieje. Zdjęcie zrobione samowyzwalaczem aparatu Fed 4

Paweł strzela z procy

Maciek gotuje na ognisku

Paweł śpi rano na pierwszym noclegu

Paweł na rurach „noclegowych” w Kołobrzegu

Paweł i Marcin przy moście łączącym Bałtyk z jeziorem Kopań

„E, bo nam okno w hotelu rozbijesz!”. Nocleg za Rowami

Paweł i Marcin w Słowińskim Parku Narodowym

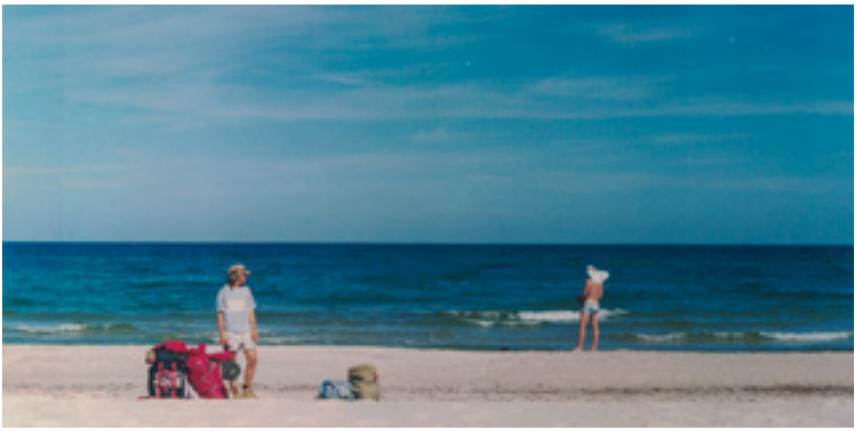

Maciek i Marcin w Słowińskim Parku Narodowym

Ruchome wydmy w Słowińskim Parku Narodowym

Maciek pod Jastrzębią Górą.
Do snu grały na „Wilki”

Maciek w porcie w Gdyni

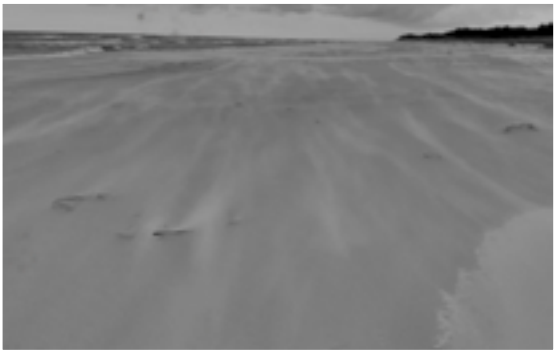

Wieje...

Wschód słońca na Helu

5 lipca wtorek

Nareszcie po wszystkich przygotowaniach, przymiarkach i próbach znaleźliśmy się na dworcu w Płaszowie. Nawiasem mówiąc niepotrzebnie, bo pociąg jechał również przez Dworzec Główny. Po prostu źle odczytałem informację na rozkładzie...

Pociąg odjechał planowo o 18.58. Rozsiedliśmy się z Pawłem w przedziale i aż do Katowic jechaliśmy tylko z dwiema innymi osobami. Dopiero w Katowicach zrobił się komplet. Zaraz na peronie jakiś sympatyczny grubas wrzucił przez okno dwa plecaki i poprosił o zajęcie miejsca dla niego i jego dziewczyny. Pani grubasowa była z typu cichych myszek, a gość to był naprawdę olbrzym. Kolejowe siedzenie jęknęło pod jego ciężarem, a tłuste uda zafalowały pod krótkimi spodenkami. Jego towarzystwo dostało się Pawłowi. Przez większą część drogi gadał o tym, że jest z Pomorza i spędzał wakacje w Ustroniu. Pochłaniał też ogromne ilości bułek z szynką i sałatą, pozawijanych w szeleszczącą folię. Widać było, że bardzo go irytuje to odwijanie przed połknięciem.

6 lipca środa

W nocy dowiedzieliśmy się, że mogliśmy zamiast do stacji Szczecin Dąbie jechać od razu do Wysokiej Kamieńskiej, bo i tak wszystkie pociągi przez nią lecą. Ale miałem już dość mordęgi w dobitym na ful przedziale, więc o 4.50 wysiedliśmy na Dąbiu.

W kasie czekały już śliczne bilety do Wysokiej Kamieńskiej. Od stacji do stacji roztrzęsionym i wagoniskami dotarliśmy w końcu do Kamienia Pomorskiego.

Tu miał się zacząć marsz, którego koniec przewidywałem dopiero na Mierzei Wiślanej. Ruszyliśmy raźno asfaltem prosto na północ, w stronę morza. Droga była bardzo ładna. Wiodła przez mosty na Zalewie Kamieńskim. Czasami w ocienionej alejce, czasami przez otwarte pola. Jako, że dysponowałem jeszcze wtedy zegarkiem mogłem stwierdzić, że droga z Kamienia Pomorskiego do Dziwnówka zajęła nam godzinę i 35 minut. Plecaki zaczęły lekko wrzynać się w plecy. W butach zrobiło się gorąco. W Dziwnówku wyszliśmy na plażę przejściem w formie tarasu ze schodami. W tym miejscu, dla uczczenia początku właściwej trasy, ustawiłem aparat fotograficzny (Fed 1,25 kg) i zrobiłem nam, przy użyciu samowyzwalacza, zdjęcie na dobry początek wyprawy.

Nadszedł czas pierwszej próby sił z nadbałtyckimi piachami, wiatrem i upałem. Na początku wyzwanie przyjął tylko piasek i wiatr. Na plaży było tak zimno, że wszystkie ciepłe rzeczy mieliśmy na sobie, łącznie z zimowymi czapkami. Prawie nie było ludzi. Po upływie kilku godzin plecaki bardzo przybrały na wadze i zaczęły strasznie wrzynać się w ramiona. Plaża była miękka i bolały nas stopy od ciągłego mielenia piachu. Pierwszy postój urządziliśmy w Pobierowie. Zeszliśmy z plaży i rozłożyli karimaty w rowie, w cieniu drzew. O ile na plaży było rześko, to z dala od wody słońce nieźle prażyło. Nie byłem zbyt zadowolony z tej pierwszej przechadzki po piaseczku. Myślę, że głównie była to wina zbyt ciężkiego plecaka. W domu ważył 17 kilogramów. Po dodaniu mojej wagi – 70 kg - dawało to 87 kilogramów. Trochę za dużo na dreptanie po piachu, szczególnie jeśli jest się właścicielem butów nr 41. Pod wieczór ruszyliśmy znów plażą na wschód.

NA POCZĄTEK PROSTE RÒWNANKO

ZUPKA NA PLAŻY

Między Pustkowem i Rewalem znalazłem ładne miejsce na nocleg. Po stwierdzeniu zupełnego braku benzyny w maszynce do gotowania, którą dźwigałem (durna pała!), zapłonęło na plaży ognisko i w mig ugotowaliśmy cebulową od Knorra. Ta pierwsza piaskowa zupka była wyśmienita. Potem herbatka i bułki, których nie zjedliśmy w pociągu.

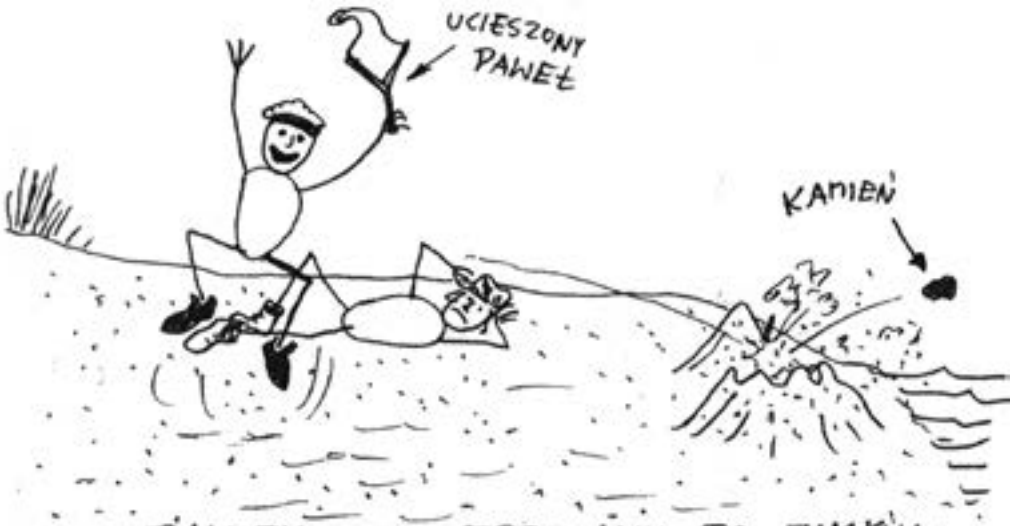

ZAWODY W STRZELANIU DO ZAMKÓW Z PIASKU

Na samo miejsce noclegowe wybraliśmy zagłębienie w piasku. Teren opadał bardzo łagodnie, ale od strony morza nie było w ogóle widać plecaków i leżących postaci (ludzie przeważnie spacerują brzegiem). Do zachodu słońca było jeszcze sporo czasu. Nie mogłem sobie odmówić przyjemności zbudowania zamku z piasku. Paweł przyłączył się po chwili. Gdy wieże były już dostatecznie wysokie postrzelaliśmy sobie do nich z procy. Paweł sprawił mi manto w ilości trafień. On jeszcze strzelał, a ja przygotowałem nocleg.

Legowisko było zaplanowane już w Krakowie. Na piasek szło prześcieradło, na nie karimaty, śpiwory i ewentualnie rano folia jako zabezpieczenie przed rosą. Plecaki i buty opatulone peleryną plastykową OP-1 (wojskowa peleryna przeciwchemiczna z grubej zielonej folii) leżały przy głowach, przywiązane linką do ręki któregoś z nas. Na podorędziu była też proca, a w śpiworze nóż wz. 55 (polski nóż wojskowy).

7 lipca czwartek

Zbudziliśmy się trochę mokrzy. Rosa pięknie rozkładała się na krzaczkach przy wydmie. Mikroskopijne kropelki lśniły na piasku lizanym przez pierwsze promienie budzącego się słońca. Jako oficjalny fotograf wyprawy zrobiłem zdjęcie premierowego obozowiska, na którym został uwieczniony również śpiący jeszcze Paweł. Herbatka z poprzedniego dnia nie wyglądała najlepiej więc wylałem ją w krzaki i zadowoliliśmy się czystą wodą. Była to zresztą pierwsza i ostatnia herbata gotowana w czasie marszu. Potem piliśmy tylko czysta wodę lub znalezione resztki napojów. Ostatecznie wyruszyliśmy około 7.30 i szybkim marszem doszli do Rewala, gdzie kupiłem naftę do prymusa (bo nie mieli benzyny). Później śniadanko przed sklepem. Składało się ono z litra mleka i kilku kanapek z serkiem topionym i cebulą oraz dżemem.

Około godziny drogi za Niechorzem zaczynały się tereny wojskowe i zostaliśmy zatrzymani przez dosyć uprzejmego osobnika w zielonym wdzianku, uzbrojonego w karabinek Kałasznikowa.

- Nie ma przejścia. Nie widzieliście tablicy? Musicie zawrócić.

Nawet pyskaty Paweł nie wdawał się w dyskusję, bo tablica faktycznie sterczała z piachu za naszymi plecami. Wykonaliśmy w tył zwrot, ale po minięciu tablicy, zamiast wrócić do odległego wyjścia z plaży, skręciliśmy prosto na wydmy, na tereny wojskowe. Las był ładny i czysty. Było w nim mnóstwo - dróżek i ścieżynek. Wykorzystując wyuczone w harcerstwie metody „dezorientacji w terenie” doczłapaliśmy jakoś do głównej drogi.

Z mapy wynikało, że z Pogorzelicy jeździ kolejka wąskotorowa, którą można by objechać poligon. Betonowa droga biegnąca na południe zaprowadziła nas do małej stacyjki. Zaczął się już upał i marsz po odkrytej przestrzeni nie należał do przyjemnych.

Mieliśmy przynajmniej tyle szczęścia, że pociąg przyjechał równo z naszym dojściem i nie spędziliśmy kilku godzin na czekaniu w rozgrzanym, blaszanym budynku stacji.

Jazda kolejką była niesamowita. Maleńkie drewniane wagoniki chwiały się na wszystkie strony i zdawały wyskakiwać z szyn na każdym zakręcie. Nie posiadały szyb więc w środku panował miły przeciąg. Jechała z nami kolonia i dzieciaki darły się na wybojach i w przechyłach.

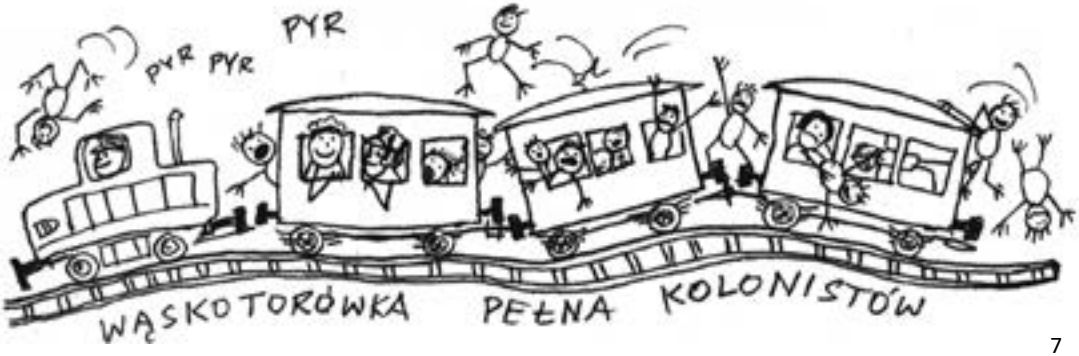

Dojechaliśmy w ten sposób do Trzebiatowa. Było już po południu, więc uznaliśmy, że trzeba znaleźć ustronne miejsce do przyrządzenia posiłku. Idealne warunki były pod mostem na rzeczce Redzie o dość podejrzanym zapachu. Maszynka nie chciała chodzić na nafcie (więc chyba słusznie nazywała się „benzynowa”) więc znów obiad zrobiliśmy na starym niezawodnym ognisku. Po rozważeniu położenia geograficznego przegłosowano, że pojedziemy pociągiem do Kołobrzegu. W ten sposób „opuściliśmy” 28 km wybrzeża, ale za to uniknęli 24 kilometrów marszu asfaltem, co nie było zbyt miłą perspektywą zważając na upalną pogodę.

W Kołobrzegu znów plażą na wschód, rozglądając się za miejscem na nocleg. Doszliśmy do starego fortu i tu ukazało się naszym oczom piękne miejsce - rury stalowe o średnicy ok. półtora metra. Paweł poszedł po wodę, gdyż ze względu na dużą wagę mojego plecaka on został oficjalnym nosiwodą oraz tankowcem (bo nosił też tę zbędną naftę). W tym czasie wziąłem kilka gałęzi i wysprzątałem jedną rurę z pozostałości po imprezach lokalnych klubów dyskusyjnych. Ułożyłem posłania tak, że spaliśmy głowami do siebie, a między nami były plecaki.

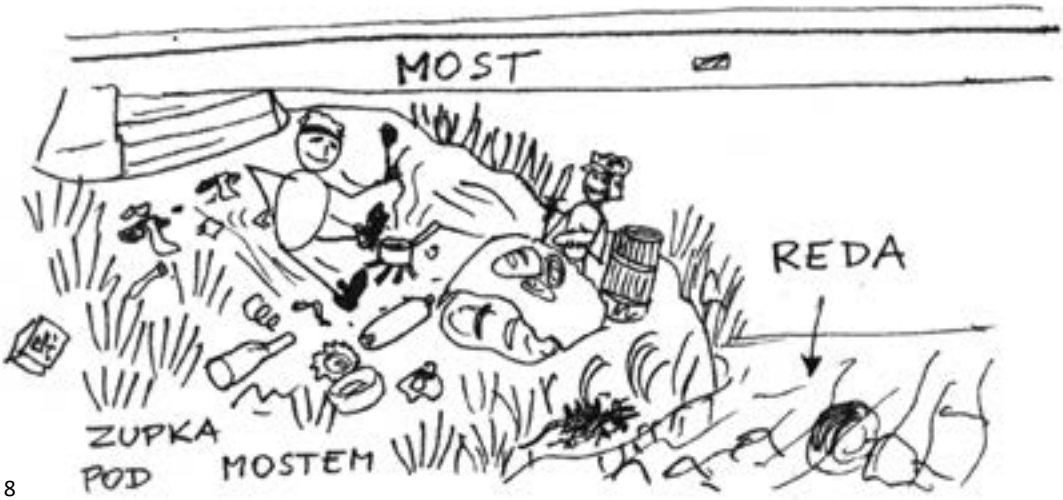

Tego wieczora zaobserwowałem ciekawe zjawisko natury toaletowo-dźwiękowej. Otóż gdy siedząc na karimacie zdjąłem majtki rozległ się charakterystyczny szelest piasku wysypującego się na karimatę spomiędzy pośladków. Paweł miał to samo. Piasek mieliśmy prawie wszędzie, choć był to dopiero drugi dzień marszu i to nie w całości spędzony na plaży. Tego dnia licznik wykazał 20 kilometrów na własnych nogach.

8 lipca piątek

W rurze spało się wspaniale. Po gwałtownym poruszeniu jeszcze długo się kiwała. Rano Paweł został zwinąć majdan, a ja poszedłem do miasta kupić coś na śniadanie. Za 19900 zł (oczywiście starych złotych – po kursie sprzed denominacji) zdobyłem chlebuś, mleczko i śledzie w sosie tatarskim, które nie wzbudziły entuzjazmu Pawła. Gdy szedłem z zakupami z powrotem na plażę, usłyszałem jak jakieś dziecko woła:

- Mamusiu, to ten pan co śpi w rurze!

Wieści szybko się rozchodzą. Pogoda nie dopisywała tego dnia. Doszliśmy do Łasina i uciekli z plaży, bo fala była coraz dłuższa i wlewała się na suchy piasek, co tworzyło wielce nieprzyjemne dla nóg połączenie. Na wierzchu powstawała wilgotna i twarda warstewka, po której przebiciu stopy wpadały w suchy i miałki piach. Przy wyciąganiu nóg wilgotny piasek z wierzchu przyklejał się do butów. Szedł coraz wyżej i wyżej, aż w końcu dostawał się do środka. Podrywany z tyłu stopami wylatywał do góry i przyklejał się grudkami do łydek, skąd, po wyschnięciu, spadał prosto do skarpetek. Brrr…

Po odczekaniu największego upału ruszyliśmy leśną drogą z betonów, która prowadziła prawdopodobnie do Sarbinowa. Kawałeczek podrzucili nas nyską jacyś harcerze. W obozie dali nam pić i poinstruowali co do dalszej trasy. Zrobiło to na nas ogromne wrażenie, bo z założenia byliśmy wrogo nastawieni do otoczenia, licząc się raczej z próbami kradzieży rzeczy lub napaści nocą, a tu ci kompocik i „może chcecie coś zjeść?”.

... ZROBILI NA NAS OGROMNE WRAŻENIE...

Leśnym traktem dotarliśmy do Gąsek, które słyną z najwyższej latarni morskiej. Paweł wylazł na nią niezwłocznie zapominając o zagotowanych nogach, obtartych ramionach i bolących biodrach. Z Gąsek ruszyliśmy do Sarbinowa, gdzie chcieliśmy znaleźć miejsce na nocleg.

Gdy dotarliśmy na miejsce, mieliśmy już zupełnie dość. Z plaży widać było dom wczasowy i poszedłem załatwić z właścicielem możliwość przespania się w ogrodzie. Ludzie długo nie mogli zrozumieć jak ktoś może nocować pod gołym niebem bez namiotów i w ogóle po co włóczyć się tylko we dwóch, że niebezpiecznie itd. W końcu zgodzili się odstąpić nam na noc kawałek ziemi, ale zażądali jakiegoś dokumentu w zastaw. Dostali legitymację Pawła. Ulokowaliśmy się w kącie ogrodu, przy żywopłocie. Jeszcze przez jakiś czas nad głowami łazili nam ludzie, bo za siatką było przejście na plażę, a tego wieczora zapowiadał się piękny zachód słońca.

9 lipca sobota

Rano o 5.20 morze ostro waliło w brzeg, a sine chmury ścigały się po niebie. Poszedłem na plażę sprawdzić, czy nadaje się do marszu. Paweł dolegiwał w śpiworze pod żywopłotem. Około siódmej, zwinąwszy wcześniej cały majdan, poszliśmy pod dom, odebrać legitymację Pawła. Poczekaliśmy trochę zanim ktoś wstał. Właściciel domu zrobił herbatę i jakby tego nie było dość, przyniósł jeszcze talerz kanapek. Doszliśmy jednak do wniosku, że to nie wszyscy ludzie są tacy życzliwi, tylko akurat my na takich trafiamy. W optymistycznych nastrojach wycieczka ruszyła plażą na wschód. Tego dnia zamierzałem dociągnąć do Łazów, gdzie umówili się na spotkanie z Marcinem. Mieliśmy na niego czekać w obozie młodzieżowym z Krakowa, na którym kadrą (wychowawcami) mieli być nasi starzy znajomi z krakowskiego szczepu żeglarskiego „Budowlani". Plaża była dobra do marszu. Słońce nie prażyło zbytnio tego dnia. Przez jakiś czas szliśmy za pewną piękną panią, która zgrabnie kręciła wcale ponętnym tyłeczkiem. I tym sposobem zapominając o bólu połknęliśmy niezły kawał linii brzegowej.

Po drodze minęliśy człowieka, który szedł z plecakiem plażą, ale w przeciwnym kierunku. Machnął do nas ręką i już nie trzeba było pytać czy idzie do końca. Brzmi to głupio, ale byliśmy pewni, że on również zdecydował się na przejście całego wybrzeża. Nie zamieniliśmy z nim ani słowa, ale jakoś tak w ogóle w dzień się do siebie nie odzywaliśmy. I to nawet nie to, że szliśmy przeważnie jeden za drugim. Nie wiem jak Paweł, ale ja miałbym kłopoty w oddechem, gdybym cały czas gadał. Poza tym słuchaliśmy szumu morza, zgrzytania piasku pod podeszwami, hulania wiatru na otwartej przestrzeni, czasem krzyku mew...

Doszliśmy na wysokość Łazów (według mapy) i zrobili postój przy pierwszej ścieżce prowadzącej do lasu. Zaczęliśmy się zastanawiać jak znajdziemy obóz z Krakowa, skoro nie mamy adresu, ani żadnego planu. Na szczęście przypadkowo leżała obok grupa plażowiczów, wśród których rozpoznaliśmy znajome twarze. Na obozie jako opiekunowie przebywali: Andrzej, Monika, Tomek i Ula, wszyscy ze szczepu „Budowlani".

***

Tu kończy się pierwsza część marszu wzdłuż brzegu Bałtyku. Przerwa w Łazach przedłużyła się. Marcin przyjechał wprawdzie 15 lipca, tak jak było to planowane, ale za to ja podjąłem się opieki nad grupą najmłodszych dziewczynek w zastępstwie Moniki, która pojechała do Krakowa odpocząć. Przy okazji zawiozła część sprzętu, który żadną miarą nie mógł okazać się użyteczny (wędka, ręczniki, szkicownik). Wróciła 17 lipca, stąd opóźnienie wyjścia (planowanego na 16 lipca) o dwa dni.

A propos bagaży, w pierwszym dniu do śmietnika trafiło mydło i dezodorant. Początkowo był też na stanie zegarek: ruski grzmot, który miał taką właściwość, że gdy stanął to ciężko go było namówić do podjęcia dalszej współpracy. Z powodu swojego uporu skończył karierę w Jeziorze Jamno (województwo koszalińskie).

TOMEK
MONIKA
ANDRZEJ
ULA
CEZAR
... ROZPOZNALIŚMY ZNAJOME TWARZE...

PAWEŁ BAWI SIĘ Z CEZAREM
MARCIN PRZYJECHAŁ
PRÓBUJĘ UMYĆ NATALKĘ
NIEEE!
AAAA!
AAA!
ŁUP!

18 lipca poniedziałek

Po wyjściu z obozu kolonijnego poszliśmy w trójkę do sklepu kupić coś na śniadanie. Wzbudziliśmy ogromną sensację, bo zamiast piwa i jaboli, na rondzie pod drzewkiem, konsumowany był chlebuś z serkiem topionym i cebulką. A popijaliśmy to wszystko mlekiem (litr na łeba). Po śniadanku schowaliśmy skórki do kieszeni, zarzucili plecaki na grzbiety i ruszyli w dalszą drogę. Pierwszy postój wypadł pod Dąbkami. Przebraliśmy się tam w cieńsze rzeczy, bo słońce zaczęło już nieźle prażyć. Po jakimś czasie drogę przeciął nam kanał łączący jezioro Bukowno z Bałtykiem. Woda w nim była ciepła i czyściutka. Silny prąd rwał w stronę morza. Ponieważ nie chcieliśmy iść do mostu, aby obejść dosyć głęboką przeszkodę postanowiliśmy się przeprawić. Jako dyżurny wielbiciel wody zrzuciłem odzienie, przelazłem przez palisadę i chlupnąłem w nurt. Prąd był całkiem wartki. Następnie Paweł podał mi po kolei wszystkie plecaki oraz inne klamoty, które przenosiłem na drugi brzeg. Marcin, znany z przekory i uporu, postanowił znaleźć nową drogę i obszedł przeszkodę morzem (mielizną).

Po zakończeniu operacji nastąpiła oficjalna kąpiel, której finałem było zdjęcie-akt męski. Miała też miejsce pewna inauguracja, ponieważ Marcin pierwszy raz w życiu wysrał się w trakcie pływania w morzu. Wyglądał przy tym bardzo głupio, tym bardziej, że zachęcaliśmy go okrzykami do dołożenia starań. Zagroziłem mu nawet uwiecznieniem tego na zdjęciu.

W Dąbkach zrobiliśmy dłuższy postój na ławce pod kioskiem. Nauczeni doświadczeniem poprzednich dni pozwalaliśmy słońcu powyżywać się na piasku pod naszą nieobecność. A sami byczyliśmy się w cieniu zarośli, żeby nie wędrować w samo południe, wtedy gdy upał jest największy.

Zwiększenie liczby uczestników całkiem zmieniło charakter wyprawy. Częściej występowały różnice zdań. Jeżeli były dwie możliwości do wyboru, to zawsze dwie osoby musiały wystąpić przeciw jednej co stwarzało przykre wrażenie.

Od Dąbków plaża była twarda jak lotnisko, ale po kilku kilometrach zrobiła się grząska jak błoto. Pokrywały ją grudki ropy lub jakiegoś smaru. Marcin, który jako element zbuntowany szedł na bosaka, dorobił się „bucików". Paweł z kolei w czasie jednego z odpoczynków położył plecak w smarze, a następnie ubrał go, co wpłynęło bardzo niekorzystnie na kolor jego białego podkoszulka. Po południu zaczęło wiać ze wschodu - prosto w pysk. Humorki bardzo się popsuły. Z zaciśniętymi zębami brnęło się pod wiatr po miękkim i klejącym się od smaru piasku.

Marcin co chwila wysforowywał się do przodu. Nie było w tym nic dziwnego. Miał o wiele lżejszy ładunek. Właściwie nie miał plecaka, tylko śpiwór i niezbyt duży worek. Ja i Paweł nieśliśmy normalne plecaki, które z całym sprzętem ważyły od 15-17 kg, w zależności od zapasu wody i jedzenia. Ciężko było przydzielić coś Marcinowi, bo do jego worka nic się nie mieściło. Nie mówiłem nic, ale wiem, że taki układ źle wpływał na atmosferę w grupie.

Przed Darłówkiem zeszliśmy z plaży i doszli do miasteczka leśną drogą koło wydm. Po krótkim postoju w śmierdzącym pseudo-kurorciku ruszyliśmy dalej wzdłuż falochronu. Wspięliśmy się na nań i nucąc „Na falochronie" Emigrantów doszli do końca umocnień kanałowych.

CHA CHA CHA
HI HI HI
PAWEŁ CAŁY W TOWOCIE

JESZCZE DZIEŃ, PÓJDĘ STĄD
RZUCĘ BAGNET, RZUCĘ BROŃ!
PRZESKOCZĘ KAŻDY MU-UR!
NA FALOCHRONIE

Około kilometra od Darłówka natknęliśmy się na urocze miejsce, które głęboko zapadło mi w pamięci. Przez plażę biegł rurociąg, który tłoczył brudną wodę prawie bezpośrednio do morza. Śmierdziało tam jak cholera, ale w krzakach leżeli ludzie na kocach, a w kałużach błota, morskiej wody i ścieków taplały się dzieci. Na styku wody z plażą brunatno-czarne perełki ropy...

Na obiad rozłożyliśmy się w grajdole. Zupka jak zwykle na ognisku. Jak zwykle smakowała. I znów pojawił się problem Marcina, który nie miał swojej łyżki i nie mógł jeść równocześnie z nami. Niby to szczegół, ale pojawiał się gdzieś w głębi myśli prymitywny motyw niesprawiedliwego rozdziału jedzenia, wątpliwości, a w końcu zawstydzenia własnymi myślami. Chciałem zostać w tym miejscu na noc, ale zostałem przegłosowany i wycieczka pomaszerowała dalej. Plaża była grząska, więc zeszliśmy do lasu. Panował tam niemiłosierny upał, a chmary wygłodzonych komarów rzucały się na wszystko co się ruszało. Za to na wydmach rosło mnóstwo krzaków czerwonej porzeczki i oganiając się jedną ręka od komarów, drugą można było zrywać kiście owoców i uzupełniać nimi braki witamin.

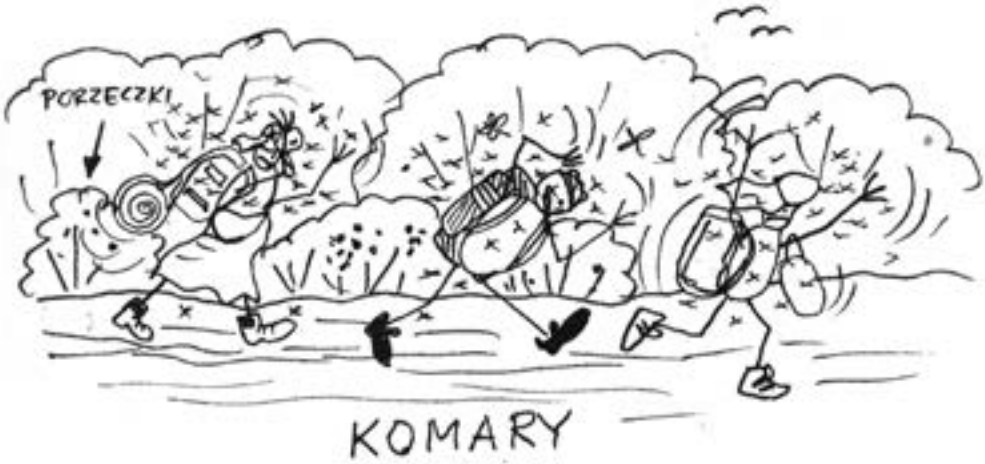

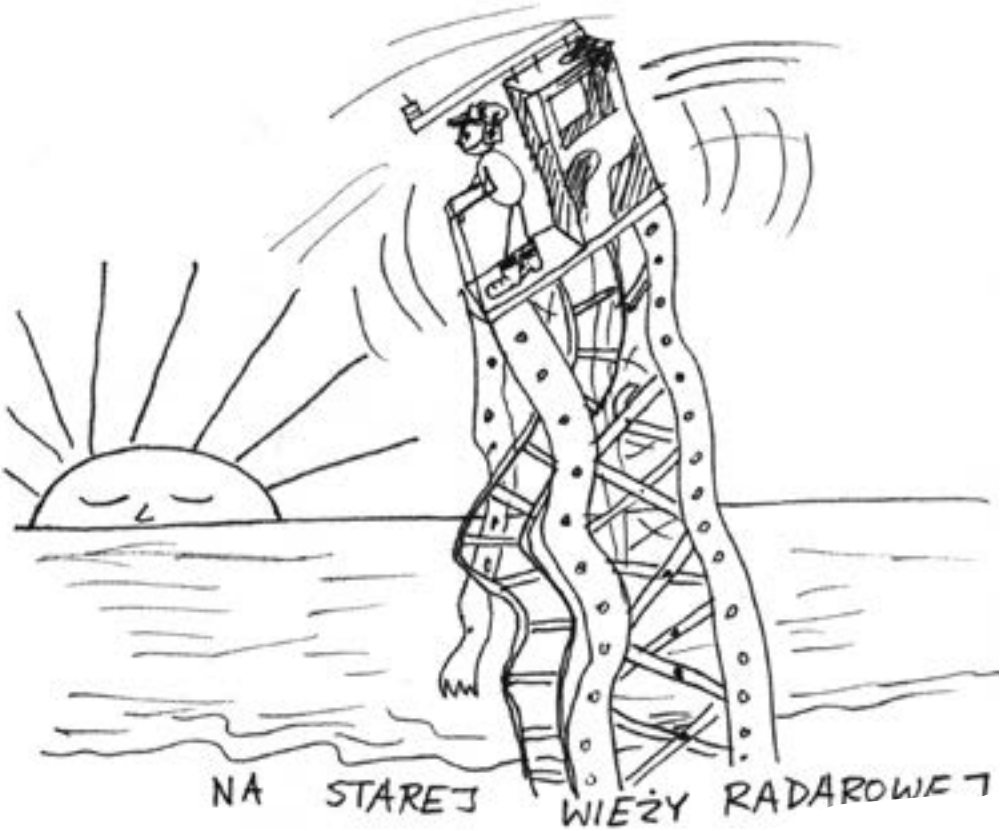

W zasadzie nie kupowaliśmy owoców ze względów oszczędnościowych. Co prawda dieta uzupełniana był planowo cebulą, ale pojawiło się zjawisko „łaknienia kalarepki”, czyli pragnienie zjedzenia jakiegoś warzywa lub owocu trochę innego niż cebula. Po napełnieniu się porzeczkami, opędzając się od komarów, prawie biegiem przebyliśmy niezły kawał drogi. Z ulgą powitałem plażę.

Niedaleko zdemolowanej starej wieży radarowej znalazłem dobre miejsce na nocleg. Był to mostek nad chwilowo wyschniętym kanałem łączącym jezioro Kopań z morzem. Do jeziora było kilka metrów, do Bałtyku około czterdziestu. Pod mostkiem znalazłoby się miejsce i dla dwudziestu osób, więc walnęliśmy się pod niego bez wahania.

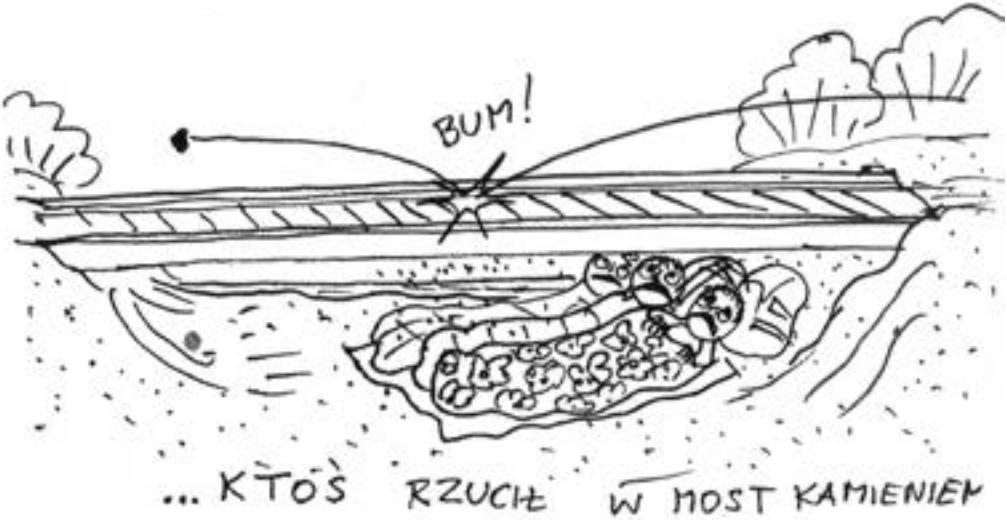

Po skromnej kolacji wleźliśmy do śpiworów i zaczęli rozmawiać o bzdetach, jak to zwykle przed snem. W pewnym momencie ciszę przerwało uderzenie kamienia o mostek, a na śpiwory i plecaki posypał się piach przez szpary między belkami. Marcin jako pierwszy zerwał się i pognał za niewidzialnym wrogiem. Nikogo nie było ani na moście, ani w pobliżu. Pozostało to zagadką. Gdy słońce już na dobre zaszło pojawiły się komary, które widać nie miały jeszcze dość ludzkiej krwi. Paweł przepłaszał je otwierając butelkę z naftą. Nie wiem czy to działało, ale zasypiałem w nadziei, że przez noc nie zostaniemy kompletnie pozbawieni krwi.

19 lipca wtorek

Rano po spakowaniu ruszyliśmy do wsi Wicie (ok. 5 km) na śniadanie. Nie mieliśmy już ani kropli wody, więc marsz na rozpoczynającym się upale nie zapowiadał się najprzyjemniej. Na plaży Marcin znalazł butelkę plastikową z płynem, który okazał się być sokiem grapefruitowym. Po kilka łykach dla przepłukania gardeł zostawiliśmy butelkę na plaży. Było mi trochę głupio zostawiać

takie rzeczy, ale nieśliśmy już swoje klamoty i wzdrygałem się na myśl o obciążaniu pleców jeszcze czyimiś śmieciami. W Wiciach kupiliśmy trzy litry mleka, dwa chleby i dwa serki topione. Miałem też w plecaku resztki dżemu, który jakoś nie schodził zbyt szybko, więc śniadanie było iście królewskie. Po przedyskutowaniu naszego położenia na mapie oraz zasięgnięciu opinii ludności miejscowej doszliśmy do wniosku, że od Jarosławca do Ustki ciągną się tereny wojskowe i wstęp jest wzbroniony. Postanowiliśmy obejść poligony asfaltem. Nawiasem mówiąc innej możliwości nie było.

Krajobraz tamtych stron, poza samym pasem przybrzeżnym był przygnębiający. Zachwaszczone pola, rozwalające się zabudowania dawnych PGR-ów, obskurne rudery. Wszystko to w drgającym od gorąca powietrzu, chmarach much i pyle. Mimo to naszej trójce szło się całkiem przyjemnie. Po drodze uraczyliśmy się nawet buraczkami pastewnymi z jakiegoś pola.

...URACZYLIŚMY SIĘ NAWET BURACZKAMI PASTEWNYMI Z JAKIEGOŚ POLA...

W Rusinowie pod sklepem wypiliśmy sobie po piwku i nawiązali rozmowę z sympatycznym chłopkiem-roztropkiem. Poinformował nas o sytuacji gospodarczej kraju, postawił, diagnozę. oraz przedstawił projekty rozwiązań. Na koniec przeszedł do informacji kulturalno-turystycznych. Z tej części wynikało, że we wrześniu zawsze przyjeżdża do Rusinowa kilka letniczek. „Takie tam wdówki te sprawy... Piękne dupczenie... Łoj.” Złożył nam też propozycję czarteru „kombajna”, czyli kosy o krótkim ostrzu, która faktycznie wyglądała na narzędzie przydatne tylko w bitce, o czym jej właściciel nas zapewniał. Podziękowałem panu pięknie za ofiarność i odmówiłem tłumacząc się brakiem zapotrzebowania na tego typu instrumenta. Po wypiciu piwa pożegnaliśmy się z nowym znajomym i powędrowali dalej.

... NAWIĄZALI ROZMOWĘ Z SYMPATYCZNYM CHŁOPKIEM - ROZTROPKIEM...

Po asfalcie szło się fatalnie. Paliły nogi. Żar lał się z nieba, a drzewa ze względów bezpieczeństwa ruchu były tak przycięte, że korony nie dawały nad drogą ani grama cienia. Gdy tylko były okazje robiliśmy przerwy w cieniu pni drzew. Droga ta była tak paskudna, że nie chce mi się jej przeżywać jeszcze raz pisząc o niej. W końcu dowlekliśmy się do Zaleskiego. Tu z naszych piersi wyrwało się zgodne: „Nigdy więcej asfaltu!” i poszliśmy na przystanek PKS-u. Zostałem na nim z plecakami i zasnąłem, a Paweł z Marcinem poszli na grandę na czereśnie. Po godzinie pakowaliśmy się do autobusu jadącego do Ustki. Przy okazji Paweł byłby stracił wszystkie dokumenty, bo mu się wypsły przy wsiadaniu. Na szczęście nie wsiadał jako ostatni. Zauważyłem, że coś leci i podniosłem portfel z ziemi.

W Ustce stwierdziliśmy, że mamy dość baletów na ten dzień i postanowiliśmy znaleźć nocleg w obrębie miasta. Nad samym morzem okazało się, że plaża nie nadaje się do nocowania. Była bardzo wąska, a na dodatek zawalona falochronem w formie betonowych krzyżaków.

Koło plaży spotkaliśmy bardzo ładną dziewczynę, którą nazwałem Wiewiórką. Gdyśmy ją zobaczyli spożywaliśmy właśnie wykwintną kolację koło eleganckiej restauracji. Stała sobie z grupką przyjaciół i wpieprzała lody. Nie była ani ruda, ani nie miała wystających zębów, ot śliczna blondyneczka, do tego ładnie opalona, ale Wiewióra już jej zostało. Nie mieliśmy jednak ochoty na zapoznawanie się z nią, bo w ogóle nie było już w nas ochoty na nic poza snem. W celu znalezienia noclegu poszliśmy na plebanię spytać, czy będą mogli nas przenocować w ogrodzie. Marcin mówił co prawda od początku żeby nie iść do księdza, bo każdy ksiądz to buc.

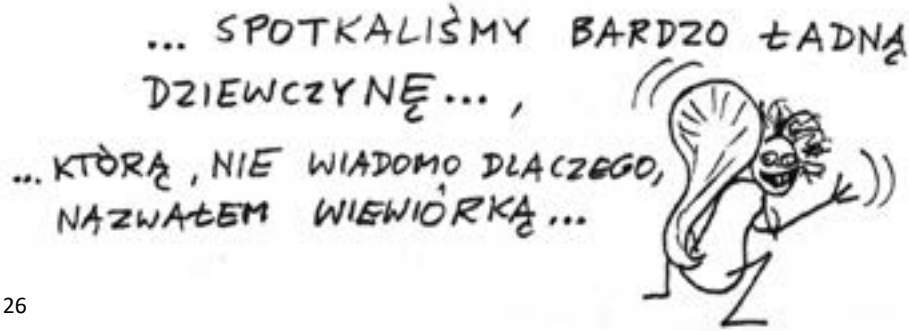

Jednak poszliśmy i okazało się, że w tym wypadku Marcin miał rację. Kombinowałem jeszcze kilka miejsc, ale chłopaki nie mieli ochoty spać ani na dachu pewnej szopy, ani w betonowym śmietniku, ani pod schodami koło domu wczasowego. W rezultacie wróciliśmy na plażę i obojętni na wszystko rozłożyliśmy majdan za żywopłotem koło najbardziej uczęszczanej alejki spacerowej. Przerażający był moment zdjęcia butów. Skóra pod stopami zmieniła mi się w jeden wielki bąbel, który prawie odszedł wraz ze skarpetką. Zszedłem nad morze i siedząc na głazie oglądałem zachód słońca, mocząc moje biedne stópki w słonej wodzie.

Nie zważają na duży ruch. spacerowy na promenadzie, walnęliśmy się do śpiworów. Gdy nogi przestały odczuwać ciężar ciała, humorki od razu się poprawiły i zaczęliśmy sypać propozycjami natury erotycznej co do sposobu obchodzenia się z Wiewiórkami. Paweł rozochocony wyciągnął ze śpiwora pałkę policyjną (nie będę się zagłębiał w szczegóły dotyczące sposobu jej uzyskania przez nas) i zagroził, że gdy ten swój wspaniały wibrator włączy do sieci to w całej Ustce światła zgasną. W końcu „zmęczeni seksem" posnęliśmy.

Pod względem marszruty był to najcięższy dzień do tej pory. Przeszliśmy 5 kilometrów po plaży i 21 po asfalcie, przy temperaturze powyżej 30°C w cieniu!

20 lipca środa

Rano Marcin i Paweł poszli na zakupy. Przepakowywałem plecak, gdy w pewnej chwili pojawił się radiowóz, który dostojnie podjechał do żywopłotu. Wysiadło z niego dwóch pięknych i inteligentnych funkcjonariuszy, w nie mniej pięknych (i inteligentnych) mundurach. Chodziło im o to, że w parku nie wolno biwakować. Zaczęli już przemówienie, ale zirytowany zapytałem:

- Czy widzicie panowie jakiś namiot?

- No... - jeden z policjantów osłaniał kolegę, który w tym czasie intensywnie myślał. Nikt nie wie do jakich doszli wniosków, może poprzeczka została ustawiona zbyt wysoko, a może przypomnieli sobie, że zostawili włączone żelazko. W każdy razie wycofali się do radiowozu i odjechali w siną dal.

Od Ustki zaczęły się tereny, na których nie ma w kranach wody pitnej. W rurach leci żółto-brązowa torfianka, a zwykłą dowożą beczkowozami. Nikt wody za darmo nie da, więc raczej z przekory niż ze względów finansowych piliśmy torfiankę, która oprócz koloru miała też niezły zapaszek zgniłych jaj.

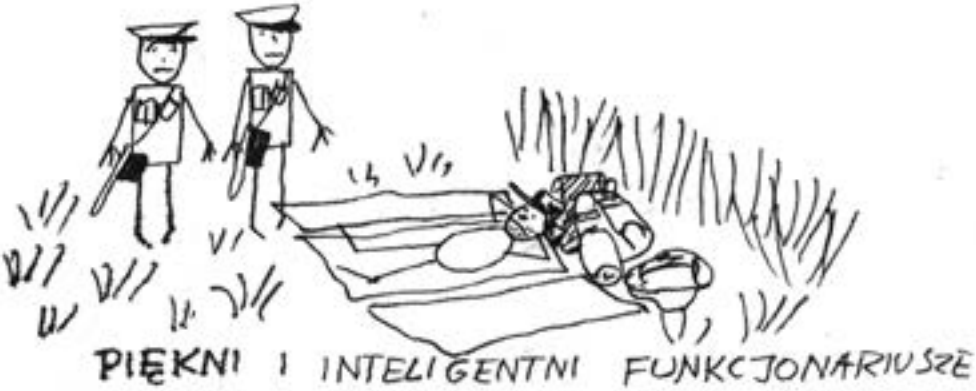

Przed wyjściem poszliśmy jeszcze z Pawłem na pocztę. W drodze powrotnej wpadliśmy zaś na Wiewiórkę, która uśmiechnęła się pięknie do nas, choć raczej wyglądało na to, że się z nas po prostu śmiała. Marcin żałował, że nie poszedł z nami, tym bardziej, że później zawadziliśmy o pensjonat, gdzie za jedyne 3000 zł (starych złotych) od łebka wysraliśmy się w przyzwoitych warunkach, wykąpali w umywalkach i nawinęli papieru toaletowego na tydzień.

Ponieważ nadwyrężone asfaltowym marszem nogi cały czas dokuczały, nasza wesoła kompania postanowiła dojść tego dnia tylko do Rowów. Szliśmy spacerowym tempem i 16 kilometrów wystarczyło akurat do zagospodarowania czasu od popołudnia do wieczora. Po drodze mijaliśmy bardzo zróżnicowane plaże. Były odcinki kamieniste, gdzie trzeba było uważać, aby przy nieostrożnym kroku nie skręcić kostki między ostrymi blokami.

Były partie, w których z piachu i wody wystawały głazy porośnięte glonami i śliskie jak lód. Gdzieniegdzie z plaży sterczały poskręcane, opuchnięte i zupełnie sczerniałe kikuty drzew, które całkiem daleko w morzu pokazywały, że tam też kiedyś był las. Miejscami piasek i kamienie przechodziły w żwir, po którym szło się dość wygodnie o ile był dobrze ubity przez fale. Plaża z szerokiej na jakieś 50 metrów przechodziła w wąską ścieżynkę pod torfowo-gliniastym urwiskiem. Pod stopami kotłowała się mętna woda, która ochlapując gliniastą ścianę zamieniała ścieżkę w błyszczącą szarfę rudego błota. Ludzi było mało, bo warunki nie sprzyjały wylegiwaniu się na kocu. W związku z tym nie było też śmieci. To był najciekawszy odcinek plaży jaki napotkałem w czasie całej trasy.

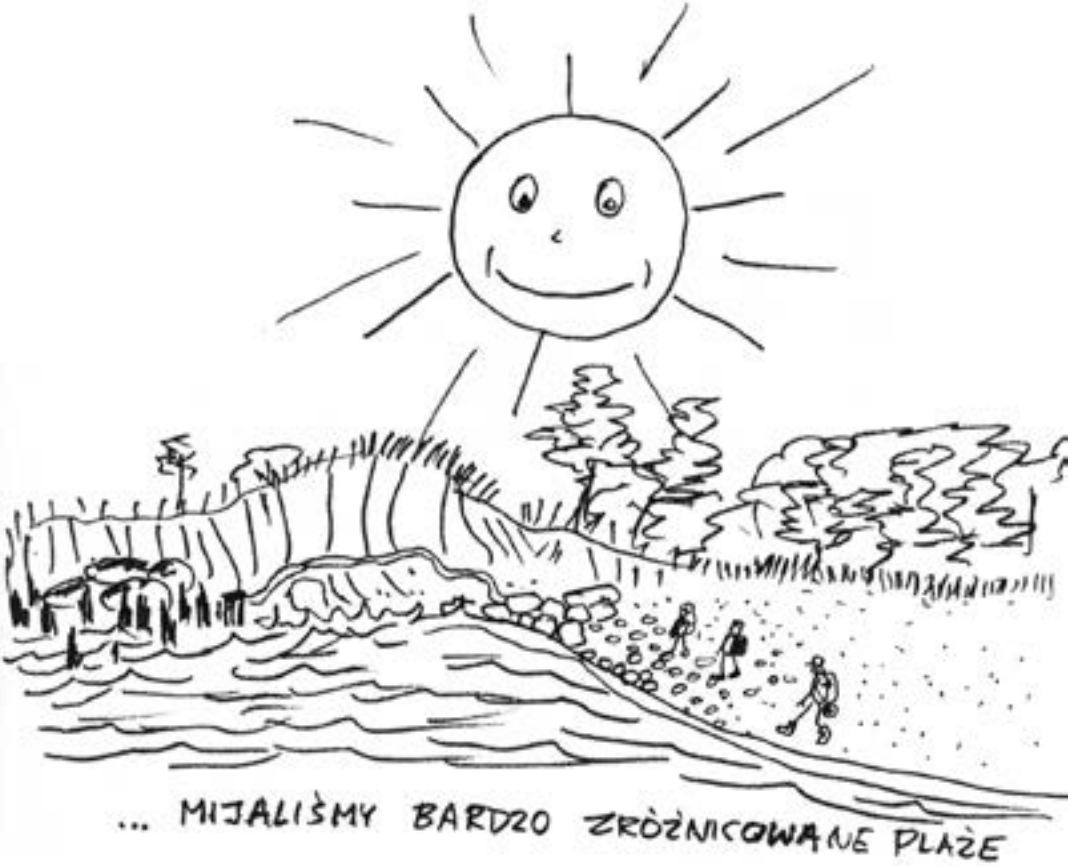

W Rowach zjedliśmy pod sklepem kolację. Gdy chcieliśmy przejść jeszcze kawałek na wschód, żeby znaleźć jakieś miejsce na nocleg, drogę przecięła nam rzeka - Łupawa - i zmusiła do marszu obetonowanym brzegiem do mostu. Znaleźliśmy się na plaży po drugiej stronie. Tu zaczynał się Słowiński Park Narodowy. Spanko przygotowałem kilka metrów od morza przy kłodzie, która chroniła przed wschodnim wiatrem i wzrokiem spacerowiczów wracających z parku do Rowów. Maskowanie było tak dobre, że gdy leżeliśmy już w śpiworach, jakaś dziewczyna rzuciła psu patyk ponad naszym legowiskiem. Pies był zdziwiony, ale dziewczyna jeszcze bardziej, gdy Paweł wychylił głowę z barłogu i krzyknął:

- E, bo nam okno w hotelu rozbijesz!

21 lipca czwartek

Kolejny poranek zapowiadał się pięknie. Kto wstał odpowiednio wcześnie mógł napisać w liście „Teraz jest już dzień – 5.30 (jeśli wierzyć temu panu, który przed chwilą przebiegał). Siedzę na pniu, za którym spaliśmy. Przed sobą mam tarczę słoneczną i pustą linię brzegową, aż po horyzont. Po mojej lewej cicho gada spokojniutki jeszcze, zaspany Bałtyk. Po prawej śpią skuleni w

śpiworach braciszkowie i suszą nogi w słońcu. Za mną wejście do portu rybackiego w Rowach i wdzierający się w morze falochron. Dalej widać zamglony rogalik wybrzeża zakończony Ustką. Pode mną drobniutki, wilgotny jeszcze piasek, a nade mną szaro-błękitne, bledziuteńkie poranne niebo, pokryte delikatnymi smużkami porozciąganych, pajęczynowatych chmurek."

Zaplanowałem dojście do połowy Słowińskiego Parku Narodowego. Jak co dzień dwóch poszło na zakupy, a jeden zwijał pozostałości po noclegu. Po śniadaniu maszerowaliśmy do południa. Przerwa wypadła w miejscu, w którym plaża była szeroka, chyba na ponad 100 metrów. Skleciłem z prześcieradła parawan rozpostarty na patykach wetkniętych w piasek i legliśmy w jego cieniu. Aby móc zmierzyć upływ czasu, zrobiliśmy na piasku zegar słoneczny. Jako przyrząd wzorcowy posłużył kompas, który wziąłem ze sobą razem z mnóstwem innych rzadko używanych i dosyć ciężkich rzeczy (takich jak na przykład maszynka benzynowa i namioty).

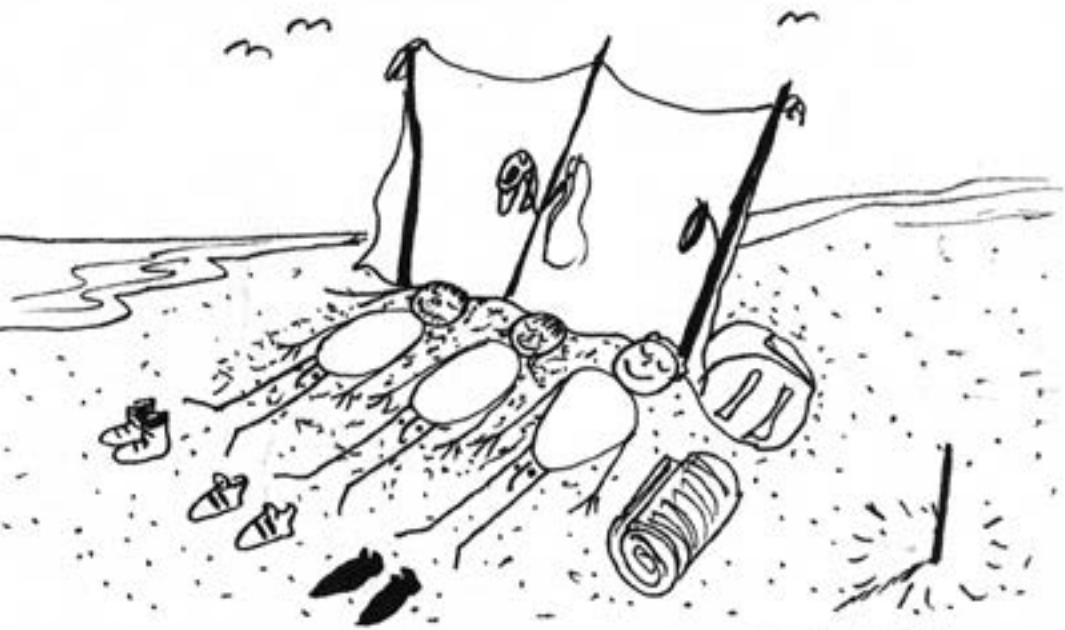

ZUPEŁNIE NADZY W SAMO POŁUDNIE

Czas odpoczynku mijał sobie powoli. Żar lał się z nieba na piasek, trawy na wydmach, fale morskie, muszelki, kamyczki i trzy gołe tyłki, które w miarę upływu czasu Słońcu udawało się liznąć, gdy wyzierały z cienia prześcieradła. Temperatura była tak wysoka, że bez kąpieli co pół godziny (7° 30' na naszym zegarze) nie dałoby się wytrzymać tej patelni. Woda była cieplutka, a fale, takie w sam raz, zachęcały do oddawania się ich pieszczotom. Gdy upał trochę zelżał ruszyliśmy dalej. Przed wieczorem był jeszcze jeden postój, w czasie którego ugotowaliśmy zupę pieczarkową.

Marsz tego dnia przebiegał dość monotonnie. Od horyzontu przed nami, po horyzont za plecami, zdawał się stać w miejscu ten sam widok - prosta linia oddzielająca morze od brzegu celująca przed siebie. Urozmaiceniem były przedmioty, które walały się po plaży. Ciekawe kamyczki, piórka, skrzynki... Ludzi było mało, a jak byli to przeważnie leżeli plackiem na kocach za parawanami. Spotkaliśmy jednak ciekawą grupę. Już z daleka dziwnie wyglądali. Kilka osób z plecakami, w kapeluszach i ze sterczącymi jak chorągiewki przedmiotami, które okazały się być siatkami do łapania owadów. Dziwni ludzie to byli studenci i chyba też pracownicy naukowi z jakiegoś uniwersytetu, którego nazwa szybko wyleciała nam z głów. Ludzie ci odpoczywali na plaży, bo „roboczo" to siedzieli na bagnach okalających jezioro Łebsko i badali jakieś owady. Mieli mapę z wyrysowanymi sektorami, w których wolno im działać. Z przejęciem opowiadali o jakimś robaczku, co to mało kto go widział, a oni chcą go właśnie znaleźć.

Tuż przed zachodem słońca dotarliśmy do Wielkiej Wydmy. Oznaczało to, że od rana przeszliśmy 28 kilometrów. Był to nowy rekord trasy. Szybka kolacja. Zostałem z plecakami, a Paweł i Marcin, jako że nigdy na ruchomych wydmach nie byli, pognali zapominając o zmęczeniu w kierunku malowniczo rysujących się w świetle zachodzącego słońca opasłych piaskowych wielorybów.

WODNE IGRASZKI

DZIWNI LUDZIE

Po wyjściu na szczyt największej wydmy Marcin wpadł na pomysł, aby zjechać „z górki na pazurki” po jej najstromszym stoku. Popędzili na dół na brzuchach jak po śniegu, wzbijając fontanny piasku i rycząc z uciechy. Gdy się zatrzymali na dole nie mogli wstać, bo pod ubraniami mieli tony piachu. Gdybym z nimi był pewnie bym się burzył, że to niszczenie przyrody i jeszcze długo bym im ględził, więc byli z siebie bardzo zadowoleni. Robiło się już ciemno i gwiazdy zaświeciły nad wydmami. Te jednak nie zatonęły w ciemności, ale zdawały się świecić niesamowitym różowym blaskiem. Księżyc wyszedł nad jeziorem i przeglądał się w lekko pomarszczonej powierzchni. Można by tak stać przez całą wieczność i gapić się na to wszystko.

NOCNY ODPOCZYNEK

Zdecydowaliśmy, że pójdziemy dalej ile się będzie dało. Komary zaczynały przypominać, że nadeszła pora karmienia, więc cała ekipa chwyciła plecaki i zbiegła z wydm nad sam morski brzeg, gdzie komarów było mniej.

Wkrótce przed nami roziskrzyło się światłami wejście do kanału w Łebie. Po lewej, na morzu błyskały blado światełka pozycyjne statków. Plaża zrobiła się ciężka do marszu. Nogi zapadały się w nią, a podeszwy paliły od tarcia ziarenek piasku w butach. W czasie krótkich odpoczynków padaliśmy na piasek, a wtedy plaża zdawała się wirować. Tak samo po zamknięciu oczu. Przypominało mi to alkoholowy „helikopter”. W końcu uznaliśmy, że to już dość na ten dzień, a raczej noc. Wygrzebaliśmy jako taki grajdołek i dosłownie padli nie odzywając się do siebie ani słowem.

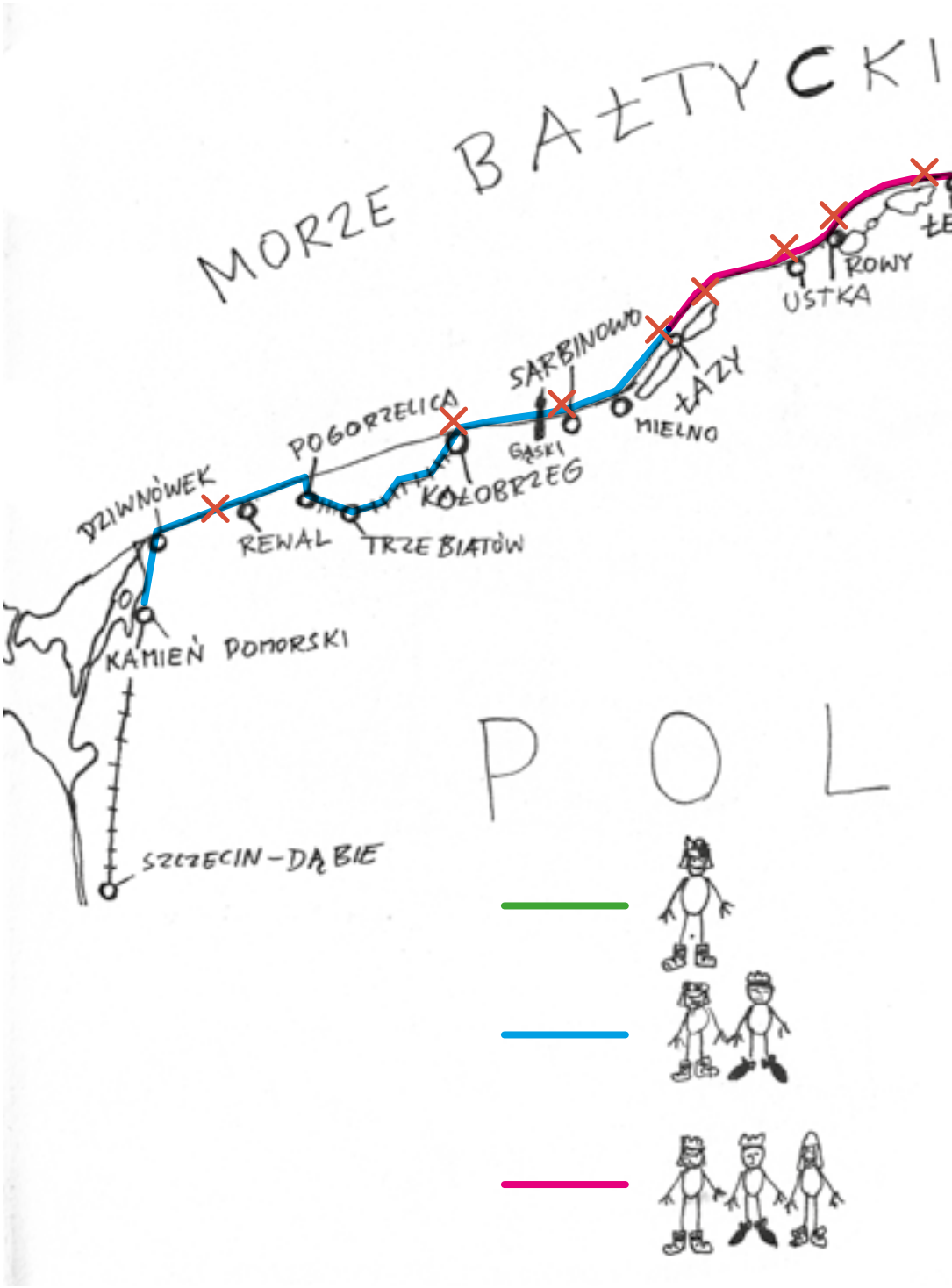
MORZE BAŁTYCKI
ŁE
ROWY
USTKA
SARBINOWO
ŁAZY
MIELNO
GĄSKI
POGORZELICA
KOŁOBRZEG
DZIWNÓWEK
RENAL
TRZEBIATÓW
KAMIEŃ POMORSKI
SZCZECIN-DĄBIE
POL

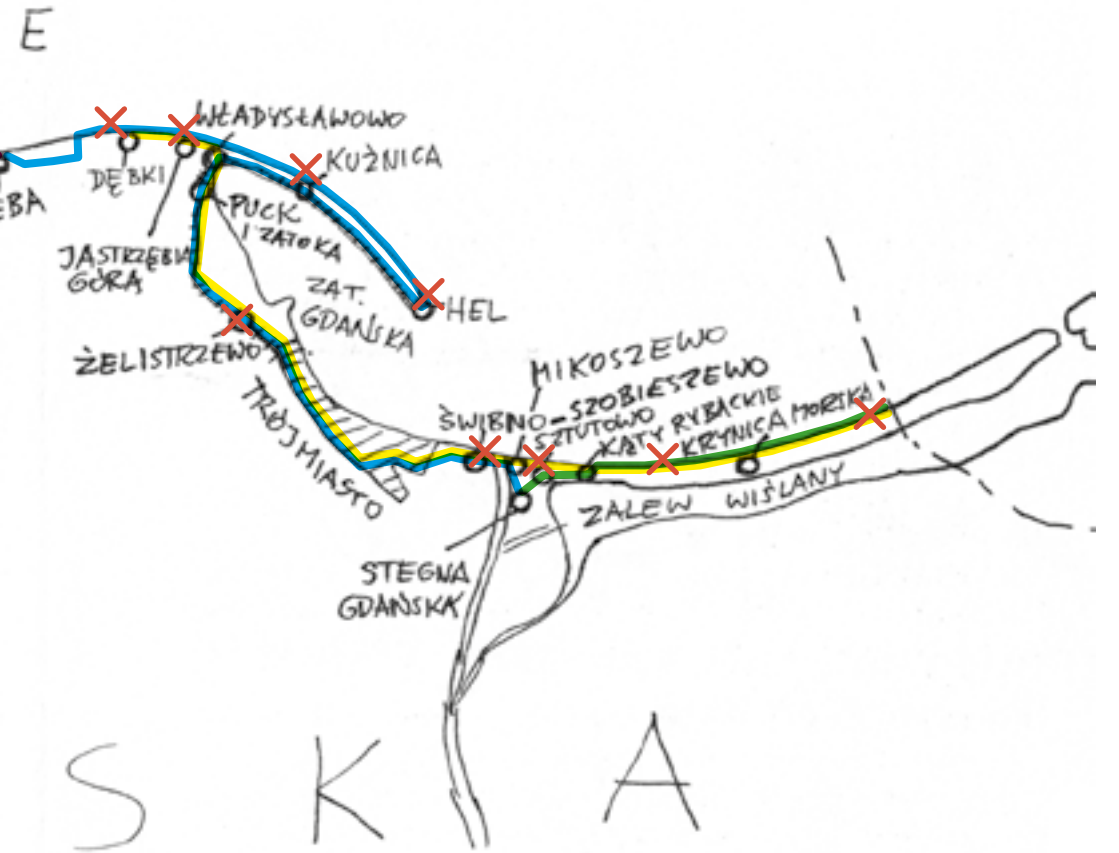

TRASA Z MIERZEI WIŚLANEJ DO DĘBEK

× – NOCLEGI

22 lipca piątek

Rano zobaczyliśmy, że wejście do kanału było tylko kilkaset metrów od miejsca postoju. Tak więc poprzedniego dnia przebyliśmy 33 kilometry, czego 5 w nocy po grząskim podłożu, a resztę w dzień w strasznym upale. W ten sposób został ustanowiony nowy rekord trasy. Dojście do Łeby było już bajką, w porównaniu z dniem poprzednim.

Niespodziewanie Marcin zdecydował, że z Łeby pojedzie na Mazury, żeby załapać się na obóz żeglarski. Oświadczenie Marcina zdziwiło nas, bo miał się odłączyć dopiero w Gdańsku. Może marsz go znudził, bo raczej był zwolennikiem mocniejszych wrażeń. Może przestał widzieć sens wędrówki, może nie miał tak silnej motywacji jak my, bo nie szedł od początku... W związku z tym w Łebie nastąpił dłuższy postój. Rozłożyliśmy klamoty w parku koło stacji.

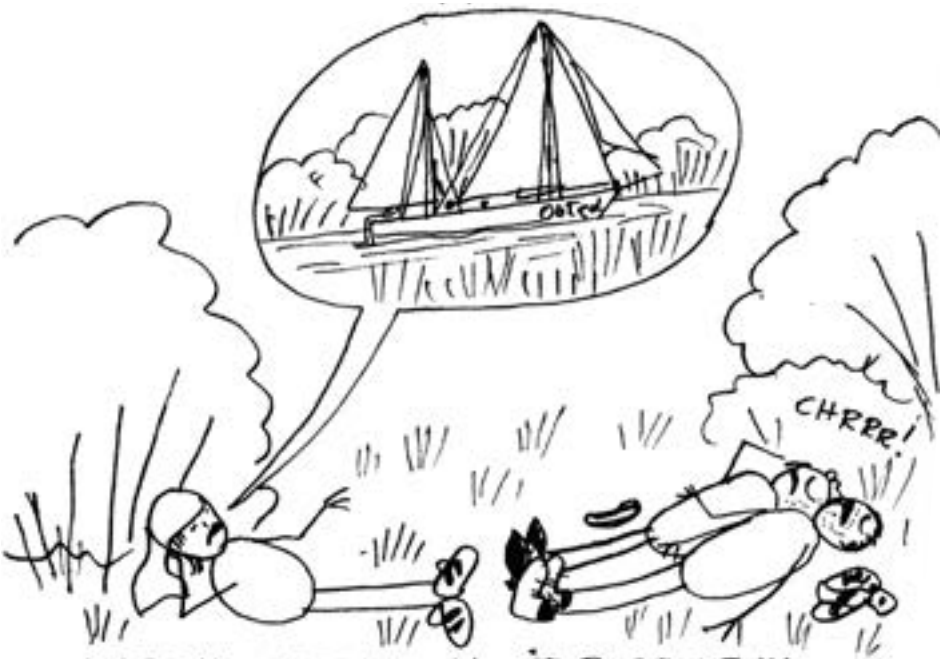

MARCIN ZDECYDOWAŁ, ŻE POJEDZIE NA MAZURY

Do przyjazdu pociągu Marcina było sporo czasu, więc całą trójką wyciągnęliśmy się na trawce w cieniu. Czas jak gdyby zagęszczony przez upał płynął wolniutko i leniwie. Pewna otumaniona temperaturą mucha plujka przysiadła mi na ręce, gdy spałem i złożyła na niej jajka. To nieco makabryczne zdarzenie zostało jednak przyjęte z humorem i zrozumieniem. W taki upał każdemu może się popierdolić. Niemniej jednak nie świadczyło to zbyt korzystnie o poziomie higieny osobistej w czasie wędrówki.

Ponieważ krążyły słuchy, że za Łebą jest poligon, poszedłem z Pawłem na posterunek policji w celu wypytania się o możliwość przejścia. Policjanci, podobnie jak mucha, nie byli zbyt sprawni psychofizycznie, ale powiedzieli, że chyba rzeczywiście jest tam poligon i chyba rzeczywiście nie ma przejścia. Rok później, gdy szedłem tą samą trasą, ale sam i w drugą stronę okazało się, że to gówno prawda.

... POLICJANCI NIE BYLI ZBYT SPRAWNI PSYCHOFIZYCZNIE...

Aby nie ryzykować zawracania z trasy i powtórnego marszu asfaltem postanowiłem, że pojedziemy autobusem PKS-u aż do Białogóry. Pożegnaliśmy Marcina, który wsiadł w pociąg do Lęborka, skąd miał dostać się do Olsztyna. Zatankowaliśmy wodę, bo w Łebie na stacji była zwykła „biała", a nie torfianka.

Po godzinie jechaliśmy już autobusem do Choczewa. Poszliśmy na grandę pod były PGR oraz nakupili czerstwych bułek po 600 zł (starych złotych). Z Choczewa dostaliśmy się do Białogóry. Ponieważ dla mnie były to już znane okolice, to koncertowo zgubiłem w lesie drogę idąc na plażę i wyszliśmy trochę z bardzo na zachód. Tłumaczyłem Pawłowi, że za to zwiedził piękny kawał lasu. Zbliżał się już wieczór i na plaży panował miły chłodek. Spacerowym tempem szliśmy w stronę Dębek po pięknie ubitej plaży. Zatrzymaliśmy się pod wysoką wydmą, około 5 kilometrów za Białogórą, w bardzo solidnym grajdole. Prawdopodobnie należał do pani Basi (znajomej moich rodziców), ale co do tego nie było pewności. Jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy. Nocleg zapowiadał się przepysznie. Gotowa osłona od wiatru, brak ludzi i kołyszące do snu morze.

23 lipca sobota

Rano ruszyliśmy bez śniadania do Dębek. Próbowaliśmy iść lasem, ale komary zagoniły nas z powrotem na plażę. Na pole namiotowe Dettlaffa (miejscowego gospodarza) doszliśmy koło dziesiątej. Chciałem znaleźć swojego przyszywanego kuzyna - Michała. Miałem zamiar zostawić pod jego opieką oba namioty. Nie używaliśmy ich ani razu od początku marszu, a swoją wagę miały. Na początku sierpnia mieli przyjechać do Dębek moi rodzice i namioty mogły zostać bez sprawiania nikomu kłopotu. Odnalazłem namiot Michała i usiedliśmy na ławeczce przed nim. Czekaliśmy aż ktoś wstanie... W końcu wylazł Michał. Przeciągnął się, powiedział cześć i poleciał do kuchni, bo obieraniem ziemniaków zarabiał na miejsce biwakowe. Zostawiliśmy mu w przyczepie bagażowej oba namioty i nieszczęsną maszynkę benzynową. Po czym poszliśmy nad rzekę - Piaśnicę.

... CZEKALIŚMY, AŻ KTOŚ WSTANIE...

Zakola zwane łazienkami niewiele się zmieniły i zachęcały do kąpieli. To było pierwsza od Łazów kąpiel w słodkiej wodzie i pierwsze mycie. Dodatkowym fuksem było znalezienie w trawie wdeptanego w piasek kawałka szarego mydła, więc zrobiło się jakby luksusowo. Przepłukaliśmy też podkoszulki z soli, która wytrącała się z parującego potu w postaci blado-żółtawej skorupy. W najgorszym stanie była jednak skóra na podeszwach nóg. Nocny marsz po suchym piasku spowodował takie posiekanie skóry na stopach, że wydawała się być kosmata. Na wszystkie strony sterczały częściowo poodcinane paseczki. Oprócz tego były też regularne, klasyczne bąble, głównie od wysokiej temperatury panującej w bucie. Kąpiel to był coś czego nasze powłoki bardzo potrzebowały.

Odświeżeni ruszyliśmy dalej. Zaopatrzenie w spożywczym. Sprawdzenie na poczcie, czy nie ma do mnie listu i hajda plażą na wschód. Upał był okropny, toteż po kilku kilometrach zeszliśmy z plaży i stwierdzili, że jeśli zaraz nie napijemy się zimnego piwa, to chyba umrzemy. Zimne piwo znalazło się kawałek za Karwią, przy drodze. Wypiliśmy po kufelku (właściwie plastikowym kubku). Skromne śniadanie, upał i 10 kilometrów zrobionych od rana po piachu dało po sobie znać znakomitym, wprost obuchowym, działaniem piwa. Paweł znany z mocnej głowy stwierdził, że jest normalnie nawalony. Nie wspomnę już o sobie. Przed marszem ważyłem 6 kg mniej od Pawła. Kupiliśmy sobie jeszcze po kufelku i poszli położyć się gdzieś w cieniu. Po drugiej stronie szosy padliśmy w sosnowym zagajniku i przeleżeli pijani do popołudnia.

OBUCHOWE DZIAŁANIE PIWA

Obudziliśmy się i stwierdziliśmy, że nadal jesteśmy pijani. Ruszyliśmy więc dalej i na plaży byłoby bardzo przyjemnie, gdyby nie to, że drogę przecięła nam rzeczka. Nie za dużą, ale przeskoczyć się nie dało. Nie mieliśmy ochoty na ściąganie butów i późniejsze suszenie nóg. Sposób przejścia suchą nogą się znalazł, ale trzeba było przejść kilka metrów po palisadzie otoczonej z obu stron wodą. Musieliśmy wyglądać bardzo zabawnie niepewnie balansując na niziutkiej palisadzie, żeby suchą nogą sforsować rzeczkę.

Do wieczora doszliśmy pod Jastrzębią Górę. Przygotowaliśmy sobie legowisko wprost na plaży, po której chodzili jeszcze ludzie. Nie szliśmy dalej, bo kilkaset metrów na wschód zaczynał się klif i od urwiska do morza było zaledwie kilkanaście metrów. Tam mogliśmy już nie znaleźć miejsca na nocleg przy brzegu.

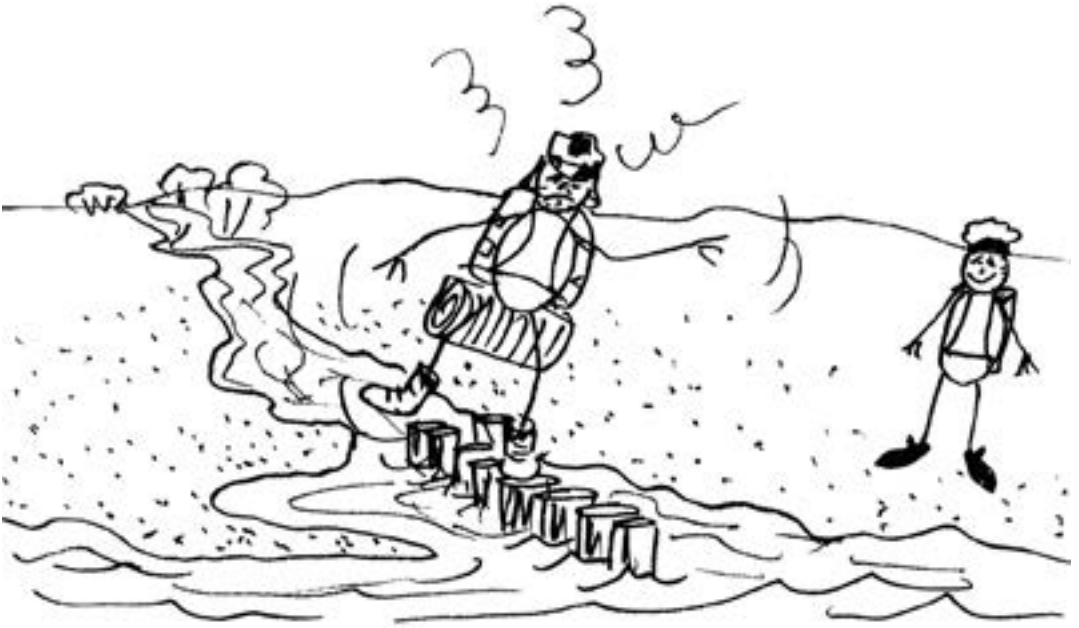

.. KILKA METRÓW PO PALISADZIE...

Morze spokojne. Po kolacji Paweł leżał, a ja rysowałem sobie jeszcze różne pierdoły patykiem na piasku. Mógłbym tak bez końca, ale z transu wyrwała mnie gwałtowna i dzika potrzeba oddania stolca. Zaniepokoiło mnie to bardzo, bo pierwszy raz coś. było nie w porządku poza zużyciem skóry na stopach. Ulżyłem sobie w lasku. Zagrzebałem psim sposobem, gdyż potrzeba była tak gwałtowna, że nie zdążyłem wziąć noża, ani nawet ubrać butów. Gdy wreszcie się położyłem, ponad piasek wpłynęła stłumiona i zmieszana z szemraniem fal muzyka. To był koncert Wilków w Jastrzębiej Górze.

24 lipca niedziela

W Jastrzębiej Górze kupiłem koperty i znaczki oraz zupki chińskie, żeby pokazać Pawłowi jakie to dobre. Na ulicy zarejestrowałem przepiękną scenkę rodzinną. Fioletowy ze wściekłości malec, drepcząc za swoim ojcem, kopał go po gołych piętach, sapiąc: „Gupi debil, gupi debil...” Mamusia co prawda zwracała mu uwagę, że jak będzie kopał tatusia, to będzie musiała nie kupić mu loda, ale chyba nie była to najlepsza metoda perswazji.

Nieskończenie długimi schodami zeszliśmy nad morski brzeg. Wkrótce zaczął się betonowy falochron, po którym bardzo przyjemnie się szło. Był cały czas w cieniu drzew i krzaków. Dobrze, że spytaliśmy jakiegoś gościa o przylądek Rozewie, bo byśmy go przeszli. Musieliśmy się wrócić około pół kilometra.

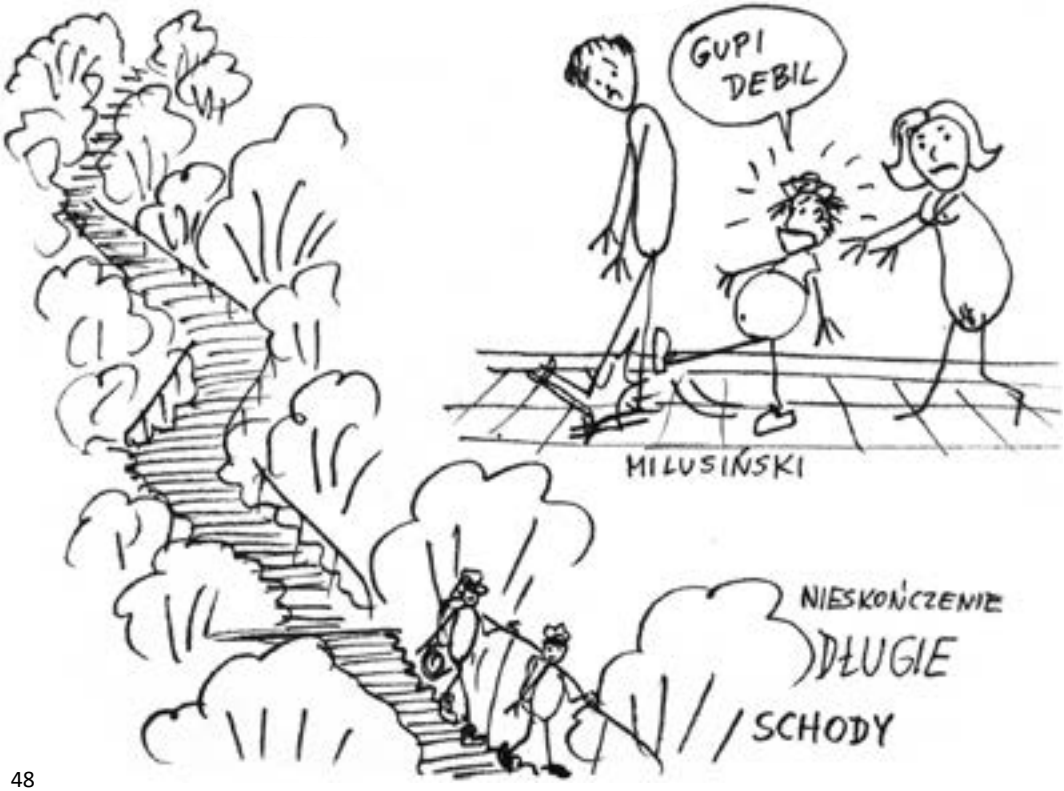

Jak na turystów przystało wyszliśmy sobie na starą, nieatrakcyjną latarnię, która jest nieczynna z powodu zupełnego zasłonięcia wielkimi bukami. Latarnia ma 32,5 metra. Pod latarnią mnóstwo kolonistów. Wychowawczynie w naszym wieku albo ciut starsze. Jedno dziecko nagle z dzikim wrzaskiem odłączyło się od grupy. Podbiegło do ławki pod latarnią i rzuciło się na nią.

- Łukaszku, wracaj!

- Pierdole, psze pani, pierdole! - wołał chłopczyk płaczliwym głosem.

- Łukaszku, proszę natychmiast wrócić do grupy!

- Pierdole, psze pani! – wrzasnął chłopczyk i rzucił się do chaotycznej ucieczki.

Bidulka musiała się za nim uganiać po placu czerwona ze wstydu jak burak. Nie czekaliśmy na zakończenie.

... MUSIAŁA SIĘ ZA NIM UGANIAĆ PO PLACU...

Za Cetniewem zatrzymaliśmy się i gotowali zupkę na plaży. Rozpaliliśmy ognisko pod wydmą, u podnóża której leżały wielkie bloki betonu i pozwijany drut kolczasty. Menażka zaczęła kopcić na ogniu i jakiś facet się do nas przypieprzył. Zaczął coś w stylu, że nie wolno palić ognisk w pobliżu umocnień, i że dymimy mu na parawan... Nawet zaczęło mnie to interesować, ale gdy zacząłem się intensywnie patrzyć panu w oczy ten zaczął się peszyć. Gdy Paweł obrócił się od ogniska z nożem w ręce i spytał grzecznie czy może jakoś panu pomóc, facet zamilkł i wrócił za parawan. Chyba niezbyt ładnie wyglądaliśmy. Paweł miał sakramenckie baki i cały był wytytłany w towocie. W kącikach oczu miał zaschnięte na stałe śpiochy z piasku sklejonego śluzem. Siebie nie widziałem, bo nie miałem lusterka. Brudne skarpetki suszące się na wbitych w piasek patykach też pewnie robiły kolosalne wrażenie.

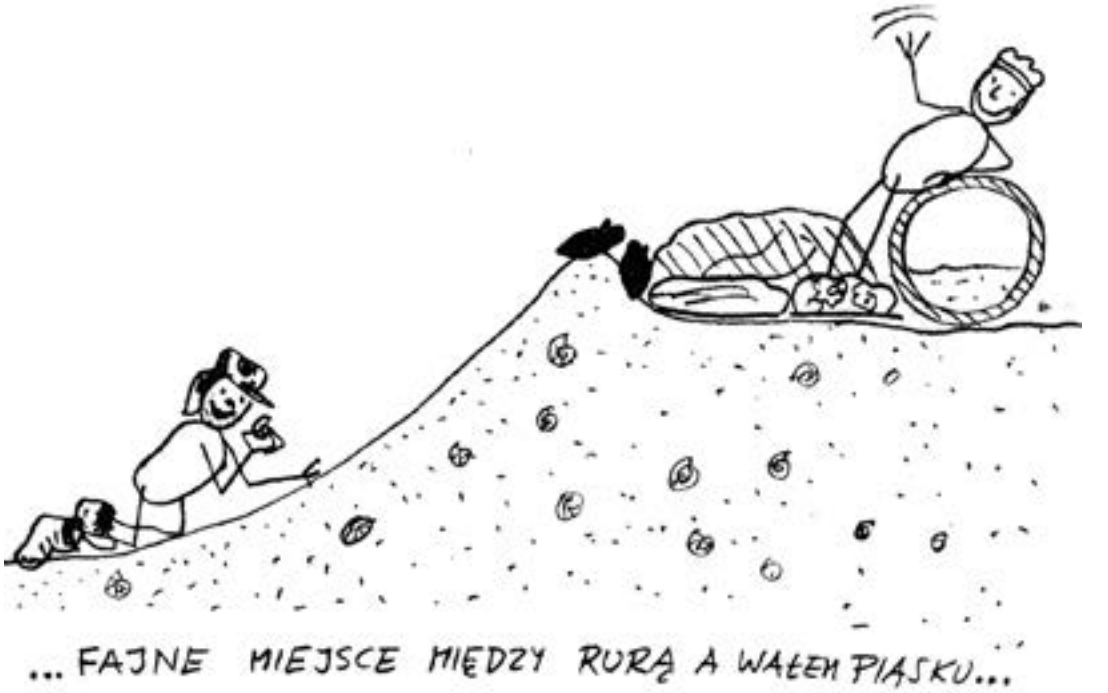

Po obiedzie doszliśmy do Władysławowa. Stamtąd powlekliśmy się na Półwysep Helski. Szło się niesamowicie. Z jednej strony betonowy murek, zarośnięte kamieniste dno, przejrzysta woda – Zatoka Pucka. Z drugiej wydma, a za nią szeroka i długa aż po horyzont plaża – Bałtyk. Środkiem lecą tory kolejowe, a bliżej zatoki strasznie ruchliwa szosa łącząca Hel z Władysławowem.

Na noc znaleźliśmy fajne miejsce między rurą, a wałem z piasku. Z żadnej strony nie było nas widać. Ciekawiły mnie te biegnące wzdłuż plaży rury. Później przeczytałem w gazecie, że transportuje się nimi piasek z dna zatoki na północną stronę Mierzei Helskiej. Ma to zapobiegać przerywaniu półwyspu przez morze. W piasku było mnóstwo muszelek.

25 lipca poniedziałek

Rano słońce wschodziło na wprost nas, na morzu. A wczorajszy zachód słońca był za to prawie nad lądem. Doszliśmy szybciutko do odległej o 2 kilometry Kuźnicy. W sklepie, a raczej pod sklepem, zjedliśmy obfite śniadanie. Prawie cały bochenek chleba, puszkę śledzi i pół kilo twarogu. Oprócz tego obowiązkowe 2 litry mleka. Dalej szło się bardzo ciężko. Był sakramencki upał. Prawie bez wiatru. Plaża była miękka jak gówno z zawalona ludźmi do oporu. Trudno było omijać tłuste cielska, które usadziwszy dupy na twardy pasie „naszej ścieżki" moczyły nogi w wodzie. Zmuszało nas to do zygzakowania i wchodzenia na suchy piasek. Na skupiska ludzi w pobliżu kurortów mówiliśmy: „plaża pełna sra-tatuńciów, kurw-mamuńciów i to-nie-są-dzieciów-tylko-skurwysynów".

Buty, których używałem także w zimie, były trochę za ciepłe na taką pogodę. Paweł miał buty do kostek, ale za to czarne, więc nogi też mu się smażyły. Oprócz tego po wejściu na suchy piach miał szybko piasek w butach. Oprócz trudów samego przedzierania się przez tłumy na upalnej plaży, byliśmy tak nażarci, że zaczęły boleć nas brzuchy. Doszliśmy w końcu do Juraty. W spożywczym wypiliśmy po jednym EB (marka piwa) z lodówki. Tym razem nie odpłynęliśmy, ale zaszyliśmy się w krzakach za sklepem, żeby przeczekać upał.

Ruszyliśmy w dalszą drogę około 16-tej. Do Helu było około 12 kilometrów, ale pytaliśmy wszystkich po drodze o ocenę odległości, tak dla zabawy. Rozrzut był dosyć spory. Szliśmy asfaltem, ale za to cały czas w cieniu. Bardzo sympatycznie. Nawet rozmawialiśmy. Wesoły marsz zakończył się przy szlabanie, gdzie strażnik powiedział, że na teren garnizonu Marynarki Wojennej nie wolno wchodzić na piechotę. Samochodem proszę bardzo. Spytałem, czy wolno rowerem, ale nie wiedział.

... SAMOCHODEM - PROSZĘ BARDZO...

W każdym razie musieliśmy się wrócić do Juraty. Stamtąd pociągiem za 3000 zł (starych złotych) od łeba dojechaliśmy do Helu. Poszliśmy pod latarnię (morską, he, he), na którą Paweł niezwłocznie wylazł. Tak całkiem niezwłocznie to nie było, bo najpierw czekał bardzo długo w kolejce. Gdy wrócił zjedliśmy kolację i poszli na plażę.

Tylko kawałek plaży był wydzielony dla ludzi, a reszta zagrodzona płotem. Słońce zachodziło nad wydmami. Po piasku szalały niesamowicie długie cienie sosenek i traw. Wydawało się, że plaża żyje i cały czas się rusza. Mój różowy plecak leżący w cieniu wydawał się być szary, a wszystko co na słońcu beżowo-różowe. Ludzi było mało, bo w Helu nie ma zbyt wielu domów wczasowych. Jako miejsce noclegowe obraliśmy sobie kosze plażowe. Wzięliśmy takie dwa i zsunęli razem. Po związaniu zrobił się z nich całkiem przytulny domek. Plecaki wsadziliśmy pod budki, do wnęk które tworzą siedzenie. W nocy spanko okazało się niezbyt wygodne. Paweł musiał spać z nogami na ściance, a ja zwinąłem się w kulkę. W nocy jakiś pijus chciał rozerwać budki i wyciągnąć nas na imprezę, ale Paweł puścił mu wiąchę i wodzirej sobie poszedł.

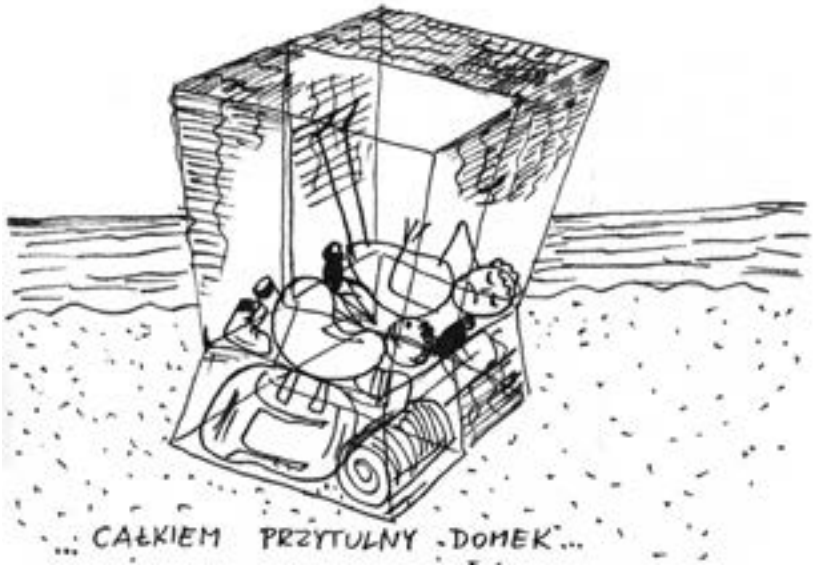

26 lipca wtorek

Słońce wschodzi na morzu, zza mgły. Można się wpatrywać w jego dysk i nie razi. Ot biały, plastykowy talerzyk zawieszony na niebie. Zaczęło razić o wiele później, jakieś trzy godziny po wschodzie. Z połowu wracali rybacy. Ci na Helu są niesamowici. Łódkami długości 3-3,5 metra wypływają w morze. Często bez silników. Większość na wiosłach, ale gdzieniegdzie można było dojrzeć maleńki lugrowy albo gaflowy żagielek. Wracające z połowu łupinki są tak zanurzone, że z wody wystaje jakieś 10 centymetrów burty.

Poszliśmy do Helu coś zjeść. W sklepie spożywczym zobaczyłem za szybką serdelek. Natychmiast napłynęła mi do ust rzadka ślina i zanim zdążyłem coś zrobić kapnęła na podłogę. To zadecydowało... Kupiliśmy na śniadanie po dwa serdelki. Zdołaliśmy zjeść tylko po jednym. Pozostałe dwa zostały na obiad. Po posiłku pojechaliśmy pociągiem do Pucka, bo upał zaczynał już doskwierać.

W Pucku zwiedziliśmy Muzeum Zbiorów Prywatnych Józefa Budzisza. Później obserwowaliśmy żaglówki na Zatoce Puckiej. Pływały omegi, DZ-ty i SZ-ty. Było tam o tyle ciekawie, że woda na jakiś kilometr od brzegu jest cały czas po pas. Gość po nieudanym podejściu do bojki wyskoczył z wody i dociągnął omegę, żeby pokazać jak to miało wyglądać. Zatoka była bardzo czysta. Widać był każdy kamyk i najmniejszą rybkę.

Po południu ruszyliśmy wzdłuż Zatoki Puckiej na południe. Nadal panował straszny upał. Plażą nie dało się iść, bo prawie jej nie było. Urwisty brzeg, niezbyt wysoki, porośnięty gęsto drzewami (w tym zdziczałymi czereśniami i wiśniami) przechodził w wodę za pośrednictwem wału gnijących wodorostów i śmieci, tworzących szarą, zaschniętą z wierzchu masę. Byliśmy zmuszeni do posuwania się polną ścieżką, graniczącą z polami. Nie było na niej ani grama cienia. Każdy krok na tej patelni wyciskał z nas pot. Na dodatek dróżka była pylista i cały ten syf unoszony butami wdzierał się pod ubranie i do gardeł.

Paweł miał dość i bolała go noga, którą kiedyś tam uszkodził jeszcze w Krakowie w czasie gry w piłkę. Postanowił, że z Gdyni pojedzie do domu. W końcu zamiast ścieżki zrobiło się coś w stylu grząskich piasków porośniętych trawą. Musieliśmy zejść z brzegu na asfalt i zapieprzać w tym skwarze. Doszliśmy do stacji kolejowej w Żelistrzewie. Postanowiliśmy zostać na niej na noc i rano pojechać do Gdyni.

Tego dnia przeszliśmy tylko 12 kilometrów, ale byliśmy bardziej wykończeni niż po odcinku Rowy - Łeba. Kleiliśmy się od potu, który zasychając na skórze tworzył bolesne odparzenia.

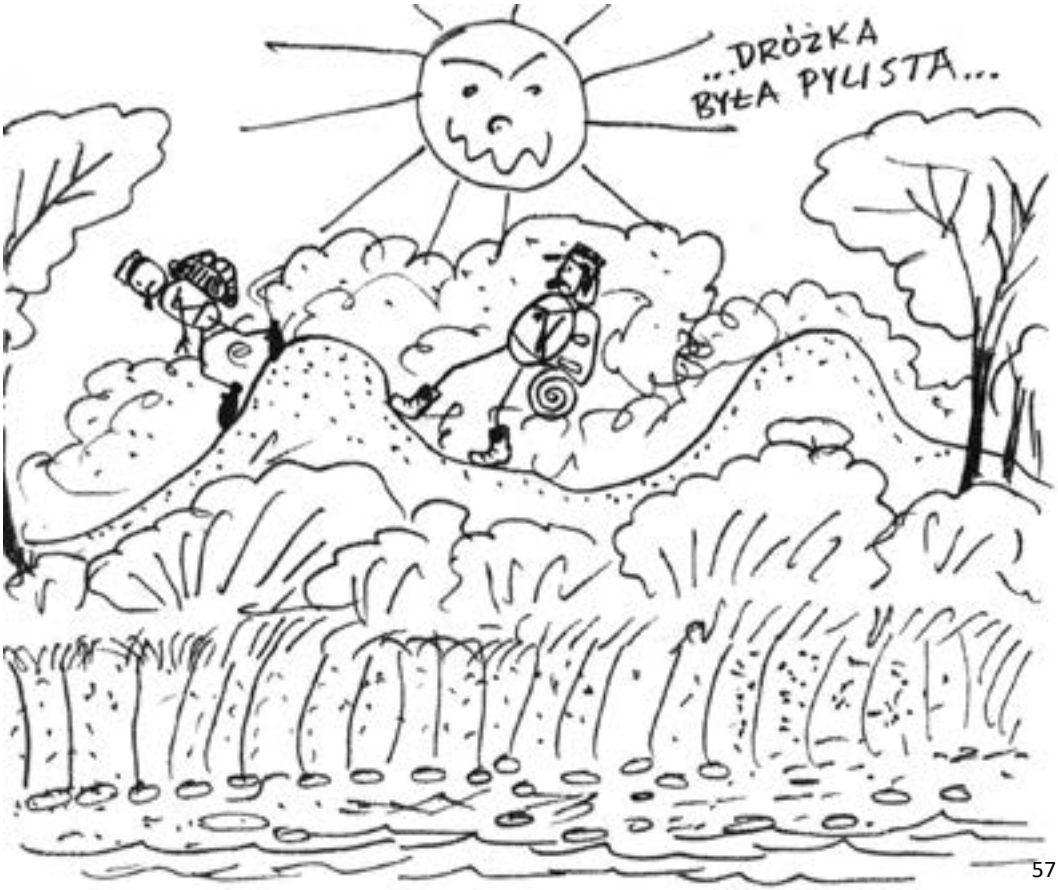

Nieopodal stacji ugotowaliśmy na torach bocznicy kolejowej pożegnalną zupkę chińską i spalili resztę nafty. Z noclegiem nam się udało. Pani zawiadowca stacji pozwoliła nam spać w budynku, a nawet otworzyła dla nas poczekalnię. Tłumaczyła, że normalnie pomieszczenie to jest zamknięte, żeby okoliczne pijaki nie miały gdzie przesiadywać, bo potem ma wszystko posrane. Skorzystaliśmy nawet ze służbowej łazienki, gdzie troszkę śmierdziało. Spało się wygodnie, ale było nam duszno i paliły nas twarze, bo dawno nie przebywaliśmy w zamkniętym pomieszczeniu.

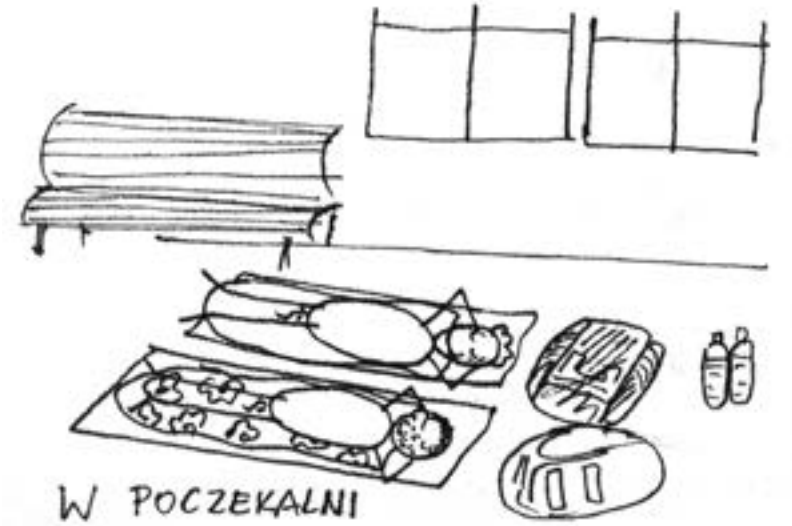

27 lipca środa

Porannym pociągiem dostaliśmy się do Gdyni. Na początek udaliśmy się pod halę targową na śniadanie. Paweł ledwo wepchnął w siebie małą makrelę, a ja z żalem nie dojadłem drugiego piklinga. Po śniadaniu ruszyliśmy w miasto. Zwiedzanie zaczęło się od „Daru Pomorza". Nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia. Ogołocony z takielunku wyglądał dosyć martwo.

Znowu było bardzo gorąco. Nie dało się normalnie oddychać. Może mi się tak wydawało, bo dawno nie byłem w żadnym mieście. Następnie poszliśmy do Akwarium Morskiego. Tam zaczęło mnie rozbierać. Przed oczami latały mi czerwone plamy. Łupało w głowie.

Z Gdyni pojechaliśmy do Gdańska. Zostawiliśmy plecaki w sklepie fotograficznym koło Neptuna i poszli do Muzeum Morskiego. Dziwiłem się, że nas wpuścili umorusanych, zapiaszczonych, zarośniętych i śmierdzących. Zwiedzanie muzeum było dla mnie jednocześnie fascynujące i wykańczające. Chyba miałem gorączkę. Paweł postanowił spróbować pójść na Mierzeję, więc wsiedliśmy do autobusu miejskiego i z ulgą wydostali się z Trójmiasta.

Dojechaliśmy do Sobieszewa. Poszliśmy od razu na plażę. Nie dość, że czułem się jak wypluty to jeszcze brud dał o sobie znać w postaci ogólnego bólu rozpalonej, zaparzonej skóry. Choć podobno woda była tam strasznie brudna, musiałem wejść do niej na chwilę i się odmoczyć.

Rano, gdy było widno, za nic w świecie nie powtórzyłbym tej operacji. Na dodatek po drodze zgubiłem podkoszulek, w którym szedłem od początku. Zmusiło mnie to do wyjęcia z czeluści plecaka drugiego - czystego. Fuj!

Noc była fatalna. W śpiworach pływaliśmy we własnym pocie, a komary wielkości bocianów zapędzały nas do nich z powrotem. Leżałem wściekły z głową przykrytą podkoszulkiem i żułem czosnek, który zaaplikowałem sobie jako lekarstwo. Chyba tylko dzięki niemu komary me wywlokły nas ze śpiworów i nie wyssały do sucha.

WYJĘCIE Z CZELUŚCI PLECAKA CZYSTEGO PODKOSZULKA

28 lipca czwartek

Gorączka mi przeszła. Został tylko kac po wielkim mieście. Paweł przybity ostatnią nocą i stanem swojej kontuzjowanej nogi powiedział, że spierdala do domu, bo ma dość. Dla towarzystwa pojechałem z nim do Stegny Gdańskiej. Najpierw jechaliśmy autobusem podmiejskim, a potem z Mikoszewa śliczną, dobrze utrzymaną wąskotorówką w kolorowych, drewnianych wagonikach. Oczywiście nie zabrakło całej bandy rozwrzeszczanych kolonistów.

Policzyłem, że czeka mnie jakieś pięć dni samotnej wędrówki. Miałem zamiar dojść do końca polskiej części Mierzei Wiślanej, z powrotem do Gdańska, pociągiem do Władysławowa i na nogach do Dębek, gdzie miałem nadzieję zastać rodziców.

Idąc do Sztutowa zawadziłem o obóz koncentracyjny Stutthof. Zwiedzałem go około półtorej godziny. Uważam, że lepiej robić takie rzeczy samemu. Zero turystów. Kompletna cisza. Słyszałem tylko swój oddech w śmierdzącym, suchym i dusznym wnętrzu baraku. Jak zwykle był upał. Obóz wycisnął ze mnie sporo potu. Gdy miałem już dość odebrałem plecak z portierni i poszedłem dalej. Za Sztutowem kolacja koło sklepu spożywczego. Siedziałem przy stoliku bardzo długo. Popijałem sok jabłkowy i po raz setny przeglądałem mapę wybrzeża. Wyszedłem w dalszą drogę dopiero około 19-tej.

Wkrótce dotarłem do Kątów Rybackich. Od tej wsi zaczynał się Zalew Wiślany. Byłem w malutkim, śmierdzącym ropą porciku rybackim na zalewie. Do portu od strony Zatoki Gdańskiej nie chciało mi się iść, bo było to około 2 kilometrów i nie po drodze. Minąwszy zabudowania zszedłem do lasu, a później przejściem na plażę. Ukazała się znów Zatoka Gdańska. Plaża jak na zwykłym wybrzeżu, ale bardziej pofalowana. Piasek był wielokolorowy. Na zmianę ciągnęły się żółte, fioletowe, czarne i szare połacie. Nie podobała mi się ta różnorodność. Może za bardzo przyzwyczaiłem się do jednolitej bieli plaż,,otwartomorskich". Nocleg urządziłem w zagłębieniu plaży, daleko od przejść. Prześcieradło, karimata, śpiwór, folia obok, plecak, buty, sznurek, OP-1 - rutyna.

OBÓZ KONCENTRACYJNY STUTTHOF

W nocy nieźle cięły komary, więc ubrałem czapkę z daszkiem, a na ten prowizoryczny stelaż narzuciłem koszulę. Na komary było to dobre, ale za to pływałem sobie we własnym sosie. Na szczęście skrzydlate bestie dały sobie spokój albo ich brzęczenie wprawiło mnie w taki trans, że było mi wszystko jedno i się odkryłem. Na plaży był straszny ruch. Pchły piaskowe waliły po śpiworze i plecaku jak grube krople deszczu. Jakieś inne tałatajstwo lądowało mi na głowie, aby zaraz się znów wybić i polecieć w przestrzeń. Trzepoczące jak szalone skrzydłami ćmy ładowały się do śpiwora. Raz ściągnąłem z twarzy dużego pająka, który na moim oku postanowił zaczaić się na jakiegoś smakowitego żuczka. Księżyc świecił przez mgłę na pomarańczowo.

Jak zwykle w takich momentach zaczęły mnie nachodzić myśli o bestiach czających się w nieznanym. Przypominają się wszystkie przeczytane horrory Kinga. Było to bardzo nieprzyjemne i musiałem się starać nie pozwolić myślom za bardzo rozbujać wyobraźni. Jakoś sobie poradziłem i o świcie śmiałem się ze swoich nocnych zmagań.

29 lipca piątek

Rankiem czekałem, aż słońce wysuszy śpiwór. Jadłem śniadanie i bezmyślnie gapiłem się w morze. Nieco później, szedłem sobie plażą, gdy zobaczyłem na piasku, między wyrzuconymi na brzeg, przemielonymi patyczkami, świecące, złote drobinki. Słońce było na wschodzie, więc odbijało się w nich i plaża na styku piasku z wodą wyglądała jak roziskrzona. Z początku myślałem, że to oszlifowane przez wodę kawałki szkła. Oglądnąłem je pod światło i okazało się, że były to bursztyny, w których istnienie przestaliśmy wierzyć, bo nigdzie na trasie ich nie było. Zostawiłem plecak i zacząłem je zbierać do etui na dokumenty. Z początku brałem jak leci. Wkrótce okazało się, że życia by mi nie starczyło, i że przeszedłem zaledwie kilkanaście metrów. Zacząłem zbierać tylko te większe niż główka od zapałki, a później jeszcze większe. Uzbierało się tego sporo. W końcu dałem sobie spokój, co nie było wcale. łatwe. Zbieranie bursztynu wciąga niezgorzej niż łowienie ryb.

Zszedłem z plaży, żeby kupić coś do jedzenia i nabrać wody. Trafiłem w złe przejście i wyszedłem za Potrzebnem. Nie chciałem się wracać i poszedłem bez jedzenia i wody 15 kilometrów do Krynicy Morskiej. Przechodząc koło jakiegoś domu wczasowego zauważyłem, że dzieci bawią się szlauchem. Próbowały oblewać wodą przechodniów. Podszedłem do furtki, otworzyłem i poprosiłem, żeby mnie oblali wodą. Na początku wszystkie uciekły do domu w panice. Po chwili wyszły zaciekawione. Najstarszy chłopiec w końcu zrozumiał o co chodzi i skierował na mnie strumień wody, tak, że mało mnie nie wywrócił...

- Nie tak! Daj mi tego węża! - nie wytrzymałem. Wziąłem koniec i wetknąłem mu w ręce tak jak mi pasowało, ale to była raczej formalność, bo i tak byłem już cały przemoczony. Nie na długo mi tej wilgoci starczyło. Słońce wyssało wodę w kwadrans.

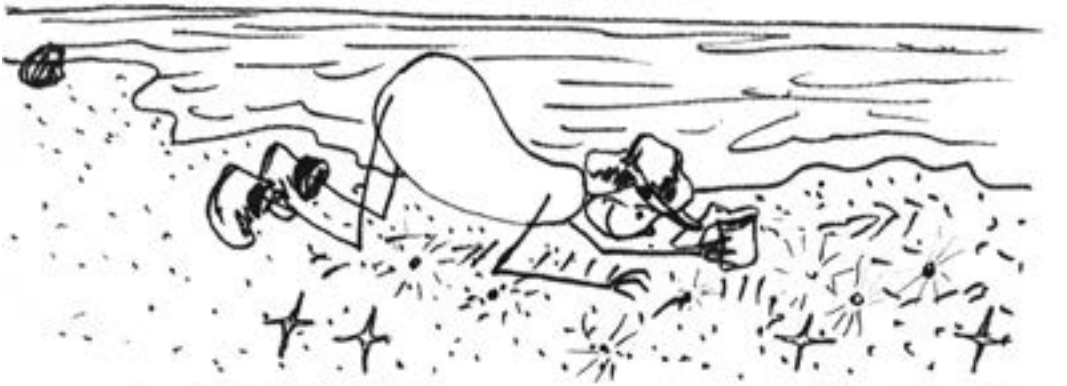

... PRZESZEDŁEM ZALEDWIE KILKANAŚCIE METRÓW...

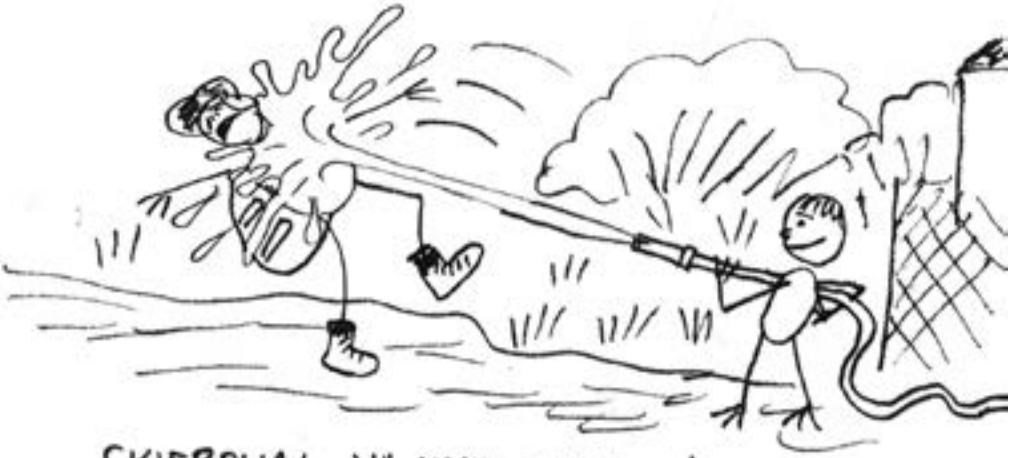

... SKIEROWAŁ NA MNIE STRUMIEŃ WODY...

W pierwszym napotkanym sklepie walnąłem EB i poszedłem szukać lokalu ze stolikami i mlekiem. Wypiłem litr mleka, zjadłem serek topiony i resztki wczorajszego chleba. Kupiłem sobie też bułkę, ale nie dałem rady jej zjeść, więc została na kolację. Nabyłem również butelkę Multi-Vity (gazowanej wody mineralnej) w ataku rozpusty. Poszedłem na plażę i po wyminięciu strzeżonych kąpielisk zacząłem szukać miejsca na odpoczynek.

Zatrzymałem się na plaży nudystów koło misiowatego gościa. Zostawiłem pod jego opieką klamoty i chlupnąłem w fale. Długo wymaczałem się w niezbyt czystej wodzie Zatoki Gdańskiej. Pierwszy raz żałowałem, że nie mam mydła. Po wyjściu z wody facet o coś tam mnie zagadnął i zaczęła się pogawędka. Próbowaliśmy się w pływaniu pod wodą na odległość. Był ratownikiem WOPR-u, ale pływał pod wodą żabką, więc bez trudu wygrywałem za każdym razem. Dowiedziałem się od niego, że w Mikoszewie jest najwięcej bursztynu i postanowiłem tam wstąpić w drodze powrotnej.

Wystartowałem około 18-tej. Bałem się, że na następny dzień zabraknie mi wody. Na plaży znalazłem jednak trzy butelki z mineralnymi i sokami. Mogłem więc tankować do woli. Szedłem do nocy, żeby dojść jak najdalej. Plaża raczej brzydka i pełna pcheł piaskowych. Przy brzegu sporo zatopionych szczątków z kutrów i barek. Woda wypychała je powoli na brzeg. Ludzi prawie brak. Spotkałem jakąś parę z Częstochowy. Rozmawialiśmy chwilkę. Miałem też bliskie spotkanie z jakimś sporym kundlem. Psisko warcząc biegło w moim kierunku, a właścicieli jakoś nie było widać. Obróciłem się do niego przodem i wyciągnąłem nóż. Pani od razu się znalazła i przybiegła spanikowana, żeby zabrać mi z drogi swojego niezrównoważonego pupila. Zatrzymałem się przed płotem granicznym w sporym grajdołku.

... PRÓBOWALIŚMY SIĘ W PŁYWANIU
POD WODĄ NA ODLEGŁOŚĆ...

Ta noc była zdecydowanie najgorsza ze wszystkich. Nawet te ośmiostopniowe „przymrozki” z początku wyprawy nie mogą się równać z makabrą jaką przeżyłem na końcu Mierzei Wiślanej. Pół nocy leżałem w śpiworze z głową pod prześcieradłem. Między śpiworem a ciałem wytworzyła się oślizgła i obrzydliwa warstwa potu. Twarz pokrywały mi krople potu. Zewsząd nadchodziło bzyczenie komarów, nadwiślańskich, wielkich i tnących jak popierdolone nawet przez prześcieradło. W całym kosmosie było tylko nieustające wycie tych krwiożerczych skurwysynów. W końcu nie wytrzymałem i się odkryłem. Przez resztę nocy machałem rękami. Przespałem się dopiero po wschodzie słońca.

30 lipca sobota

Po przebudzeniu podjąłem decyzje. Spierdalam jak najszybciej z tego przeklętego miejsca! Do granicy zostało mi jakieś sto metrów. Ot, płot na plaży, jak na Helu. Nic ciekawego. Trochę rozczarowujące nawet…

Skierowałem się na wydmę, żeby wyjść na szosę. Ten dzień zapowiadał się na zupełnie bezwietrzny i marsz plażą w słońcu byłby zabójczy. Po pokonaniu kilku wzniesień zszedłem na asfaltówkę, która częściowo biegła w boskim cieniu drzew. Do Krynicy Morskiej kawał drogi. Na stopa nie było szans. Bo i kto by tam jeździł i po co. Ale miałem strasznego fuksa, bo co prawda nie złapałem okazji, ale okazja złapała mnie. Zatrzymał się koło mnie samochód - wypasiona amerykańska bryka. Jechali nim ci ludzie z Częstochowy, z którymi poprzedniego dnia zamieniłem kilka słów na plaży. Mieszkali na kwaterze na samym końcu przysiółka Piaski i właśnie jechali na zakupy. Zaproponowali. podrzucenie do Krynicy Morskiej. Z chęcią się zgodziłem, bo marsz po asfalcie w upał to nie jest coś co tygrysy lubią najbardziej.

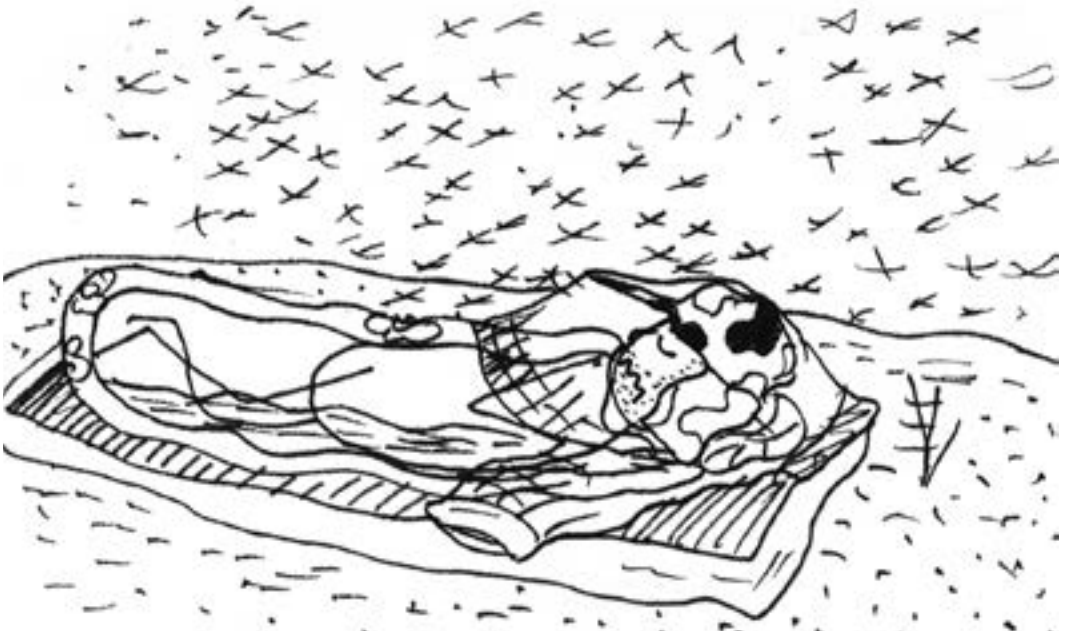

... ZEWSZĄD NADCHODZIŁO BZYCZENIE...

... MIAŁEM STRASZNEGO FUKSA...

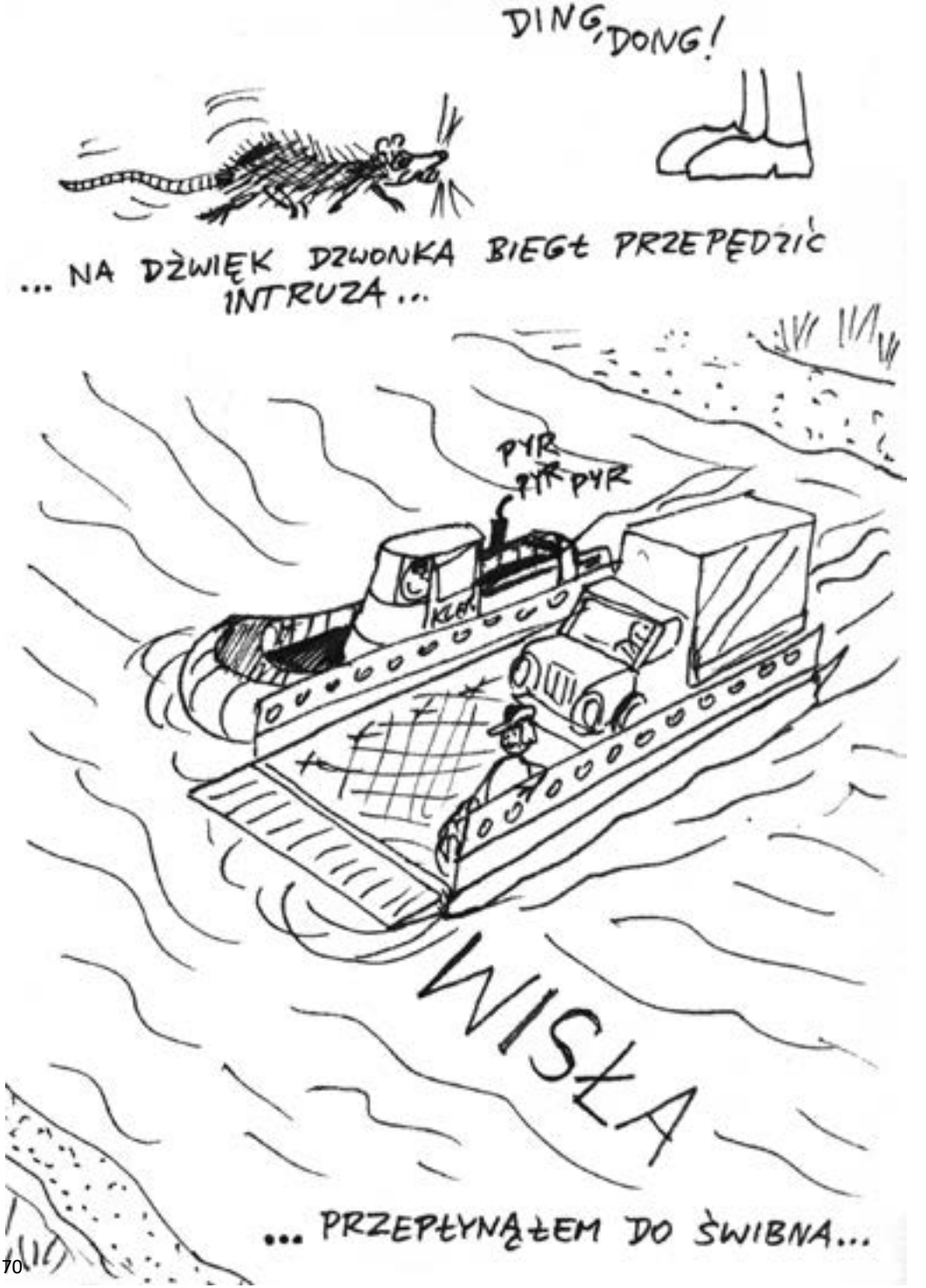
DING, DONG!
... NA DŹWIĘK DZWONKA BIEGŁ PRZEPĘDZIĆ INTRUZA...
PYR PYR PYR
WISŁA
... PRZEPŁYNĄŁEM DO ŚWIBNA...

Okazało się, że dziewczyna miała kiedyś szczura (tak jak ja). Podobno był taki agent, że na dźwięk dzwonka do drzwi biegł do przedpokoju, żeby przepędzić ewentualnego intruza. W Krynicy Morskiej na poczcie odebrałem telegram od rodziców. Treść: „przyjeżdżamy do dębek około 1 sierpnia rodzice”. Do Stegny dostałem się autobusem. Stamtąd znajomą wąskotorówką do Mikoszewa. Krótki spacer przez las i wyszedłem na plażę. Woda brudna jak cholera. Pływało w niej mnóstwo śmieci. To dorobek całej Wisły. Na plaży leży pełno drzewa. Od miału do wielkich kłód. Znalazłem dużą butelkę coca-coli, do połowy pełną (pycha!). Do wieczora skutecznie szukałem bursztynów. Na noc rozłożyłem się między kępami traw. Wiał wiatr. W nocy było dużo chłodniej, niż ostatnio i mniej komarów.

31 lipca niedziela

Rano pogrzebałem jeszcze trochę w patykach. Mam już pudełko po przyborach do szycia pełne jantaru. Z Mikoszewa spacerkiem dotarłem do promu, którym przepłynąłem do Świbna. Stamtąd autobusem miejskim do Gdańska. Kolejką do Gdyni. Pociągiem do Władysławowa i znowu na plażę. Wykończony tłuczeniem się po wagonach i przesiadywaniem w poczekalniach z ulgą poczułem znów piach pod nogami.

Ruszyłem prosto do Dębek. Śmiesznie się szło, gdy morze było z innej niż zwykle strony. Plaża też była inna, bo nachylona na prawo. Pogoda zaczęła się zmieniać. Wiał silny wiatr od morza. Kilka razy zalało mi buty nim zdążyłem uskoczyć przed falą. Na postojach suszyłem buty. Plaża zrobiła się zła do marszu. Utwardzona tylko z wierzchu wciągała nogi w sypką przestrzeń pod spodem. Po twardym pasie nie dało się iść, bo był cały czas pod wodą.

Z ulgą powitałem rozewski falochron, którym w komfortowych warunkach przeszedłem ładny kawałek. Zatrzymałem się na przylądku i zrobiłem zdjęcie psu baraszkującemu w wodzie. Postanowiłem spróbować dojść jednym ciągiem do Dębek, bo to miał być ostatni marsz całej wyprawy.

Pod wieczór zrobiło się tak zimno, że miałem na sobie wszystkie ubrania. W końcu zaczęło lać. W związku z tym zrobiłem postój i wrzuciłem na siebie jeszcze OP-1. Na szczęście ta peleryna jest tak obszerna, że zmieściłem się pod nią z plecakiem i karimatą. Przykucnąłem pod betonowym blokiem i przespałem się trochę „na nietoperza" (owinięty peleryną). Na morzu rozszalały się żywioły. Zrobiło się ciemno. Niebo rozjaśniały tylko błyskawice. Wkrótce zapadła noc. Szedłem twardo w deszczu, ale gdy na horyzoncie pojawiła się chmura w kształcie smoka, która w miarę zbliżania zmieniała kształty i waliła w morze piorunami jak podupcona, zwątpiłem. Odszedłem pod wydmy, skuliłem się pod skarpą i czekałem, aż minie największy szał. Odkryłem, że niewiele trzeba człowiekowi, żeby zmienić się w bezrozumne zwierzę, które samo nie wie czemu boi się piorunów. Chmura przeszła zmieniając przy okazji kształt w wojenny żaglowiec. Grzmiało co kilka sekund. Większość w wodę, zdawało mi się, że kilka metrów od brzegu. W końcu przestały spadać wodne lawiny i zaczęło regularnie padać. Zapadły egipskie ciemności rozświetlane tylko fleszami błyskawic, które dawały niesamowite fioletowo-biało-niebieskie światło. Każdy poskręcany kij na plaży nabierał kształtów, od których jeżyły się włosy na głowie. Czasami odnosiłem wrażenie, że w świetle błyskawic widzę postacie na plaży. Niekiedy tworzyły szpaler i przyglądały się moim zmaganiom z wiatrem przez całe swoje jednotysięcznosekundowe życie. Do rzeczywistości przywracały mnie niespodzianki typu: błysk - patrzę, a tu idę po kostki w wodzie, błysk - nogi grzęzną w głębokim piachu, błysk - przewracam się na palisadzie koło Karwi (tę samą co to po niej szliśmy po pijaku).

... ZWĄTPIŁEM...

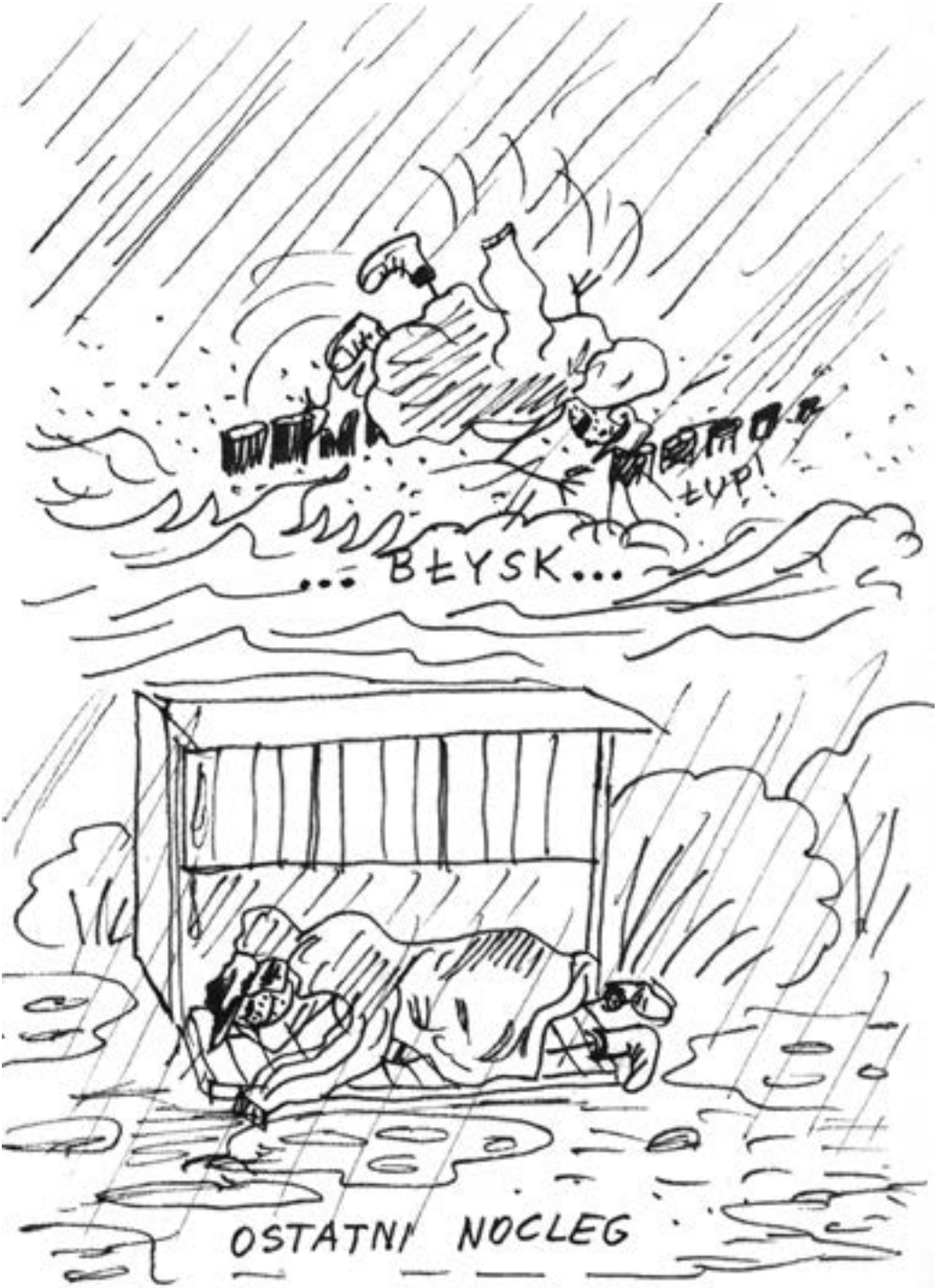
ŁUP!
... BŁYSK...
OSTATNI NOCLEG

Całą noc niebo wyrównywało rachunki z morzem. Wydawało mi się, że nigdy nie dotrę do Dębek. Wreszcie w demonicznym świetle błyskawic ujrzałem kadłuby dębczańskich kutrów. Warowały na brzegu jak złowrogie, ociekające wodą ryby. Skręciłem w znajome wyjście z plaży.

W lesie doznałem szoku dźwiękowego. Grzmotów nie słyszałem wcale, a ryk fal zmienił się w delikatny szelest wody w liściach leszczyny. Nie bardzo miałem co z sobą zrobić. Byłem wykończony, głodny i wyglądałem jak marsjanin w moim OP-1. W końcu ułożyłem się na podeście koło małego kiosku spożywczego. Nie rozkładałem śpiwora. Głowa na plecak, reszta na dechy. Przykryłem się peleryną. Czułem, że jestem oklejony warstewką błota i piasku. Przyczyna: podest nie był zbyt czysty, a woda kapiąca z dachu budki rozchlapywała dookoła błoto. Jakoś przekimałem, aż się zaczęło rozwidniać.

1 sierpnia poniedziałek

Rano poszedłem od razu pod pocztę i przespałem się na czystych płytkach na podeście. Po otwarciu poczty odebrałem aż dwa listy. Następnie udałem się nad Piaśnicę. Jakiś ranny ptaszek oddał mi cały szampon, choć chciałem tylko trochę i szybko się oddalił. Może bał się, że za chwilę zrobię użytek z przytroczonego do plecaka noża i poproszę o portfel. Dębki jeszcze spały i nad rzeką nie było tekstylnych. Wyszorowałem się i odmoczyłem za wszystkie czasy. Gdy zaczęli pojawiać się kolejni amatorzy kąpieli ruszyłem na pole namiotowe. Znajomi skierowali mnie do namiotu rodziców. Przywitała mnie Mama, Anka i Kleryk. Tata był już gdzieś nad rzeką.

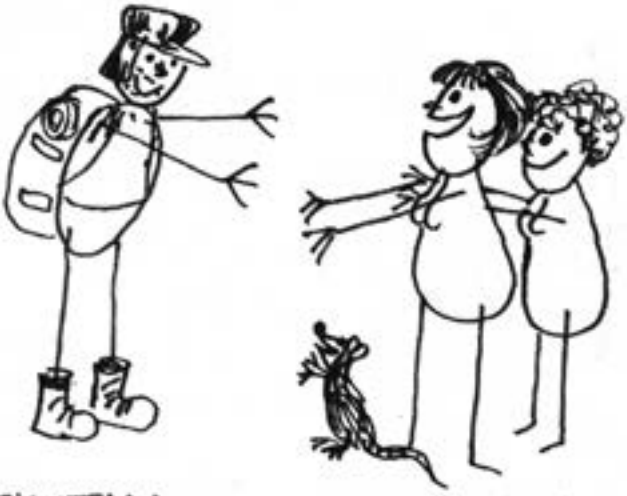

... PRZYWITAŁA MNIE MAMA, ANKA I KLERYK...